

BANK MAZOWIECKI W WARSZAWIE

ODDZIAŁ W WILNIE

NIEMIECKA Nr. 35

BANK DEWIZOWY

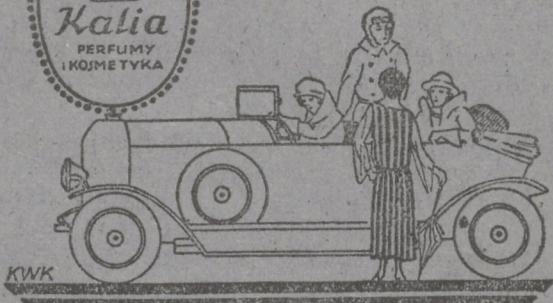
Nr. Nr. TELEF. 190 i 189.

ZAŁATWIA WSZELKIE OPERACJE BANKOWE.
POSIADA SKŁADY TOWAROWE, ORAZ ODNAJ-
MUJE KASETKI (Safes) W SKARBCU OPANCERZONYM.

INSTYTUCJA CENTRALNA: WARSZAWA, Ś-to KRZYSKA Nr. 30.
ODDZIAŁ MIEJSKI — NALEWKI 29.
ODDZIAŁ W ŁODZI — W ORGANIZACJI.



NIEZBĘDNE W DOMU
i PODRÓŻY!



J. & S. STEMPNIOWICZ

FABRYKA PERFUM i KOSMETYKÓW
POZNAN

ODDZIAŁY:
WARSZAWA — KRAKÓW — RADOM
KS. SKORUPKI 8. RYNEK GŁÓWNY 46. PIAŁKI 12.

DOM BANKOWY

T. BUNIMOWICZ

BANK DEWIZOWY

BANK ZASTĘPCZY POLSKIEJ
KRAJ. KASY POŻYCZKOWEJ

DLA ZAINKASOWANIA NALEŻNOŚCI
ZAGRAN. ZA WYWIEZIONE TOWARY

ZAŁATWIA WSZELKIE CZYNNOŚCI
W ZAKRES BANKOWOŚCI WCHODZĄCE.

WYNAJEM KASETEK OPANCERZONYCH

Adres Redakcji:

Wileńska 29 m. 10.
Otwarta codziennie
od 11—1 przed poł.

Prenumeratę przyjmuje
księgarnia Gebethnera i Wolffa
Adama Mickiewicza 6.

PROMIEN

Cena ogłoszeń:

1/1	str. przd tekst.	160	zł.
1/2	" "	80	"
1/4	" "	40	"
1/8	" "	20	"
1/1	str za tekstem	100	"
1/2	" "	50	"
1/4	" "	25	"
1/8	" "	15	"

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI Z DODATKIEM DLA DZIECI

Prenumerata miesięczna 1.500.000 mk., cena N-ru pojedynczego 1.000.000 mk.
Dodatek dla dzieci Nr pojedynczy 250 000 mk.

STANISŁAW JASIŃSKI,

Okreźna wystawa dzieł sztuki artystów plastyków polskich w Wilnie.

W ubiegłą niedzielę, w Domu Oficera Polskiego, przy ul. Ad. Mickiewicza 13, Delegat Rządu p. W. Roman, dokonał uroczystego otwarcia wystawy dzieł sztuki artystów plastyków polskich.

W interesującej tej wystawie okreźnej, biorą udział spadkobiercy wielkich tradycji, ostatni z pośród żyjących uczniów szkoły kompozycyjnej genialnego mistrza Jana Matejki, wychowani w szczególniejszej czci dla sztuki, pod najwznioślejszym hasłem: służenia w sztuce najważniejszym celom narodu i ludzkości.

A więc Wincenty Wodzinowski, Ludwik Stasiak, Kasper Żelechowski, Stanisław Radziejowski, Leonard Stroyński i niestety, z pośród nich niedawno zmarły Włodzimierz Tetmajer, a obok stoją artyści tej miary co Teodor Axentowicz, Aleksander Laszenko, P. Stachiewicz, Augustyn Weiss, Uziembło, Vlastimil Hoffmann, Stanisław Janowski, Jerzy Kosak, Gustaw Gwozdecki, Zefir Cwikliński, Bronisława Rychter - Janowska, Stanisław Klimowski, Stanisław Szwarz, Jan Kostka, Miron Duda, Marjan Pułke, Karol Mondral, Stanisław Fabijański, Stefan Matejko, Mieczysław Jabłoński, Stanisław Kopystyński i cały zastęp innych, talentów pierwszorzędnych czerpiących natchnienie swoje z ziemi ojczystej, z ideałów w sztuce i w życiu.

Wielkiemu Mistrzowi z Krakowa, sztuka była tylko środkiem do spełnienia wielkiego posłannictwa narodowego, do jakiego został on powołany. Znany archeolog, jeden z najbardziej wykształconych historyków, należał Matejko do tej rodziny polskich myślicieli, którzy całą duszą wierzyli, że Bóg przeznaczył wielką misję dziejową Polsce wśród ludów słowiańszczyzny. Misji tej niestety, nietyko, że nie zrozumieliśmy, ale wbrew wspaniałym tradycjom Kazimierza Wielkiego, przeoczyliśmy ją. I tu tkwi niejedna z klęsk i nieszczęść naszych dziejowych. Misja ta bowiem w polskiej umysłowości, ujęta w potężną twórczość Jana Matejki, była prostą: prowadzenie słowiańszczyzny do cywilizacji i Boga. Punktami jej wytycznymi — jak stwierdza tak pięknie w swem dziele: „Malarstwo polskie“ Stanisław Tomkiewicz — to: chrzest narodu, Unja z Rusią i Litwą, walki z wrogami chrześcijaństwa i katolicyzmu, panowanie Bato-rego i dążenie do berła nad słowiańszczyzną. Momen-

tami ciemnymi: niesnaski i prywata w XVII wieku, wreszcie ostateczne zwycięstwo egoizmu i demoralizacji w czasach rozbiorowych. Momentami jasnymi w epoce schyłkowej: tryumfy Sobieskiego, Konstytucja 2 maja 1791 r. i powstanie Kościuszki. Matejko widzi, że w każdej doli i niedoli czuwa nad Polską Opatrzność, która zsyła nam już to bohaterów, mężów stanu i karnodziejów, już też świętych swoich i wieszczów. To też Matejko wywarł potężny wpływ na swoją epokę i na młodsze pokolenie, głównie przez pogłębienie gruntu i przez podniesienie intelektualnego i moralnego poziomu sztuki polskiej, oraz przez posiew wysokich ideałów, których spadkobiercy, stają na obecnej okreźnej wystawie dzieł sztuki

Pisząc w prasie pomorskiej o wystawie krakowskiej, pisałem wtedy, że intelekt w sztuce odgrywa swoją ważną rolę, jak zresztą w każdej dziedzinie wiedzy ludzkiej, ale sztuka to nie tworzenie systemów filozoficznych lub traktatów literackich. Jest ona w swoim rodzaju biologią i jak ta kryje głęboką filozofię, ale niestety, nie dla wszystkich przystępną, nawet nie dla tych wszystkich, którzy posiadają talent rzeźbiarski lub malarski. Myśli te tłoczyły mi się zawsze wiele razy uczestniczyłem w wystawach artystów plastyków krakowskich i — wiele razy zwiedzałem wystawy wielkich miast Paryża, Wiednia, Monachjum, gdzie olśniony stawałem wobec Boecklina i Moreau, Stucka i Monet, Reinore'a i Degas'a, Knopfa i Hodlera. Wszędzie to samo tętnienie życia, pełne tajemnic i czarodziejstw, tak u mistrzów krakowskich jak i u tamtych — chociaż inne, nieraz bardzo inne...

Wystawa okreźna artystów plastyków krakowskich, którzy większością dzieł swoich, przeważają na wystawie Wileńskiej, ilustruje nam najlepiej historię sztuki dzisiejszej w Krakowie, przytem daje ona zupełne wyobrażenie o krakowskiej kulturze artystycznej i to jej największa zasługa, a wcale nie to, że artyści na wystawach tych sprzedają za tanie pieniądze wiele obrazów, które zdobiąc ściany domów inteligencji naszej, staną się kiedyś cennym zabytkiem potomków, jak już dziś są jej chlubnym świadectwem smaku i kultury.

Jakkolwiek w wystawie tej nie biorą udziału Malczewski, Wyczółkowski, Ruszczyk, Boznańska, którzy dać mogli całkowite pojęcie o wielkości dzisiejszej sztuki polskiej, to przecież mamy przed oczami może najindywidualniejsze dzieła malarskie na jakie stać artystów tej miary i sławy, co Kossak, Tetmajer, Wodzinowski, Żelechowski i Stasiak, Laszenko i Hoffman lub Axentowicz.

Szczególny blask bije z tych obrazów, o tematach i fragmentach o tyle swojskich, że wszystko to się zna, odgaduje, przeżywa. Życie to przytem pełne tajemnic i czarodziejstw, wywołując sny na jawie i pobudzając myśli do coraz głębszych refleksji, jak na przykład w tych obrazach Tetmajera, pełnych artystycznego rozmachu, często humoru i kurdeuszowskiej jakiejś swobody, niekiedy nawet jakby lekceważenia, malowanych jednak z wielką sztuką, powiedziałbym z tem wirtuozostwem, na jakie zdobywał się zawsze Tetmajer, a co cechuje Axentowicza i Kossaka, i na jakie stać Wodzinowskiego, Laszenkę, Stasiaka i Żelechowskiego. Wszystko co to będzie, czy „Jawnogrzesznica“ czy „Tryptyk Raclawicki“ Tetmajera, czy „Wywłaszczenie“ Żelechowskiego, czy „Na Jasną Górę“ Stasiaka—obraz darowany niedawno przez marszałka Senatu Trampczyńskiego sejmowi śląskiemu—czy też wreszcie Wodzinowskiego: „Wypoczynek żniwiarzy“, znajdujący się w Muzeum narodowym we Lwowie, albo „Na swojską nutę“, obraz jego zakupiony do Muzeum narodowego w Krakowie, lub też Laszenki: „Poranek w Vadi-Halfa“, czy „Dolina królów“ z grobami Faraonów średniego cesarstwa, wraz z odnalezionym grobowcem Tutankhamona, czy „Cisza“, wspaniały obraz jego, zakupiony do Muzeum miejskiego w Piotrkowie, czy nakoniec jego „Sfinks Gizeh“, malowany w przejrzysty poranek, jako przedhistoryczna, najstarsza rzeźba świata, na tle piramid Cheops'a II, króla IV dynastji i Chefren'a III, króla tejże dynastji.

Obrazy te, to niezmierne obszary snów, halucynacji, nieomal myśli całych pokoleń które sycić będą swe oczy ich widokiem, jak i my je dziś sycimy, upajając się tą świetnością szkoły kompozycyjnej, patrzmy na nie, jak na jakiś połysk i blask, drogich kamieni, w te lśniące, jakby rozgrane tony barw, które ręka artystów nałożyła na płótno lub karton.

Cóż to za harmonja kolorów, coż to za umiłowanie benedyktyńskiej pracy u jednych, a co za pietyzm u drugich.

Któż nie pokochałby tego krakowskiego malarstwa, które tyle pokrewieństwa ma z całym otoczeniem starych i młodych jego adeptów!

Ograniczamy się do tych kilku spostrzeżeń, aby zwrócić uwagę kulturalnej publiczności naszego miasta na wystawę, która z rzędu idąc przez kraj nasz, jest już XV.

PAŃSTWO A OBYWATEL.

Odczyt prof. W. Makowskiego.

Na korzyść Bratniej Pomocy Akad. w Sali Śniadeckich U. S. B. usłyszeliśmy odczyt b. ministra sprawiedliwości p. Makowskiego, na temat: *Państwo a obywatel*. Sz. prelegent zrobił krótki i jasny przegląd rozwoju idei państwowości i jej przebiegu historycznego w dziejach powszechnych, a w szczególności w Polsce.

Więc najprzód, państwa rodowe, z supremacją tego lub innego rodu. Dążenia odśrodkowe niszczą państwo rodowe, jak państwo Samona w VI wieku, które jego nie przeżyło. Później, ród panujący wytwarza państwo absolutystyczne. Jednostka władcy absolutystycznego wystarczyć nie może: tworzy się organizacja władzy—stan urzędniczy. Arabowie pierwsi stworzyli państwo przejściowe od rodowego do absolutystycznego.

Organizacja tworząc nowych ludzi z niczego, przerasta zasadę absolutyzmu. Tworzy to w następstwie emulację i nienawiść w narodach.

Stwarza się koncepcja metafizyczna w pojmowaniu idei Państwa. Władza jednostki panującej staje się często symbolem, przerasta samego władcę. Może on być osobiście niedołęga, ale organizacja państwowa pracuje za niego, aby państwo trwało.

Trzecią fazą rozwoju idei państwa—to Rzeczpospolita, organizacja zróżniczkowana, kooperatywa społeczna.

„Państwo — to ja“ — mówił Ludwik XIV kiedy pognebił rody.

„Państwo — to my“ — mówi dziś Rzeczpospolita.

Religja w państwach rodowych, to był kult ujednostajniony w oddzielnych rodach.

Państwo absolutystyczne ma religję panującą.

Prawo — w państwie rodowym, to pakt między rodzicami i rodzinami.

W państwach absolutystycznych prawo, to dekret monarszy. W nowych państwach w Rzeczypospolitej — prawem są ustawy tworzone zbiorowo.

Skarb, z królewskiego zamienia się w państwowy.

W absolutystycznym państwie poddany, po spełnieniu rozkazów władcy, jest zupełnie spokojny. W Rzeczypospolitej, obywatel nie powinien nim być. Ma ciągle kontrolować siebie i to „czuwanie obywatelskie“ najprzód nad własnem środowiskiem najbliższem, jest jego najpierwszym obowiązkiem. O ile poddany państwa absolutystycznego prócz spełnienia rozkazów władcy, o nic się nie troszczy, o tyle obywatel musi troszczyć się o wszystko, aby, dobra ogółu nie stracić z uwagi. Rzeczpospolita to kooperacja świadoma i rozumna, to ustrój skomplikowany, który wiąże ludzi. Polityka republikańska opierać się musi na obywatelu: inaczej, bez oparcia o jego uświadomienie, nie robi nic. Stąd wynika całkowita i ogromna odpowiedzialność każdego pojedynczego obywatela.

Polska ma dużo do zrobienia na tem polu. W swojej ewolucji dziejowej nie przeszła ona etapu absolutystycznego. Była, mimo nazwy Rzeczpospolitej, państwem rodowym, aż do samych rozbiorów. Absolutyzm nie sproszkował wybujalości jej indywidualizmów. O własnych formach organizacji państwowej nie myślała. Poczula potrzebę tego dopiero w niewoli. To spaczyło jej linję rozwojową. Musi dziś Polska ten pominięty etap myślowo i czynnie odrobić, wykształcić w sobie tę zbiorową odporność która w państwach co przeżyły absolutyzm, istnieje. Instynktowo, ów nieprzeżyty etap, zwyrodniał się był w trójjakość i trójwierność.

Obecna psychologia nasza nosi jeszcze w sobie cechy przeżytków państwa rodowego i absolutystycznego: ma dużo swawoli i poddańczości. Ale, ani rozumowanie poddańcze ani absolutystyczne nie poprawi naszej psychiki, a tylko szerokie, światłe uświadomienie obywatelskie dokonać tego może. Każdy obywatel musi mówić i działać jakby był sam państwem.

On sam jest stróżem swego państwa.

Tylko pamiętać należy żeby życia obywatelskiego nie skarykaturować przez demagogię, która jest zgubą państwa.

Demagogia zaprzepaściła bogatą kulturalnie Grecję; demagogia, swojście pojęta zgubiła i Polskę.

Demagogia jest wrogiem państwowości i postępu w szerokim pojęciu obywatelstwa.

Zebrała licznie publiczność dziękowała hucznie oklaskami Sz. prelegentowi za jasny, bezstronny i krytyczny wykład.

Róg.

Z dziejów obserwatorium astronomicznego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

Jest to dość trudnym do wytłumaczenia faktem, że w Polsce, która wydała pierwszego wielkiego astronoma Mikołaja Kopernika, astronomja po jego śmierci w r. 1543; nie tylko nie rozwinęła się, tak jak to widzimy w innych krajach, ale nawet nie znalazła gorących zwolenników i krzewieli heliocentrycznego układu systemu słonecznego. W Akademji krakowskiej, słynnej tylu wielkimi nazwiskami w pierwszej połowie XVI wieku przez cały prawie XVII wiek wykłada się jeszcze astrologję i komentuje pisma astronomiczne Arystotelesa. Nawet niewiadomo kto i kiedy poraz pierwszy przywiózł do Polski wynalezioną około 1608 roku lunetę astronomiczną. Zapewne, że ciągle zamieszki i wojny nie sprzyjały rozwojowi tej nauki, ale to też tem jaśniej uwidoczniła się nam na tem fakcie utworzenia w r. 1753 przy Akademji wileńskiej pierwszego obserwatorium astronomicznego w Polsce, które stało się bezsprzecznie na poziomie europejskim. Nie są to czcze słowa, dowodem tego jest przedmowa do cztero-tomowego dzieła Lalanda „Astronomie“, wydanego w r. 1771, gdzie autor nowożytnej obserwatorium poświęca całą stronę, a więc znacznie więcej miejsca niż innym już znanym obserwatorjom np. wiedeńskiemu, berlińskiemu lub petersburskiemu.

Utworzenie obserwatorium wileńskiego jest w pierwszym rzędzie zasługą X. Tomasza Żebrowskiego, który w r. 1753 wyjednał u Kasztelanowej Mściśławskiej, Elżbiety z książąt Ogińskich Puzyniny fundusz na wzniesienie budowli i zakupno narzędzi. Oto co pisze o tem Lalande w powyższej przytoczonej przemowie do swojej „Astronomie“:

Un trait plus singulier encore, est celui de Madame la comtesse Puzynina, qui a fait bâtir et a doté richement un observatoire à Wilna en Lithuanie; M. Rarowski disoit en faisant l'oraison funèbre de cette illustre fondatrice, *una mulier fecit confusionem genti*. Elizabeth d'Oginski Puzynina, castellane de Mscislau, à la sollicitation du P. Żebrowsky, Jesuite, et professeur de Mathematiques dans l'universite de Wilna, concut le dessein de contribuer au progres de

l'Astronomie, en faisant bâtir un observatoire magnifique, et l'executa en 1753...

Żebrowski gorliwie zabrał się do pracy i już w roku 1760 mamy wiadomość o jego obserwacjach księżyca. Jednak dopiero pod kierownictwem jego następcy, X. Marcina Poczobuta Odlanickiego obserwatorium wileńskie stało na wyżynach. Uczony ten przez szereg lat studjował w Pradze, we Włoszech i we Francji matematykę i astronomję, gorliwie czynił obserwacje astronomiczne i zwiedzał znane obserwatoria. Z gruntownym przygotowaniem Poczobut rozpoczął w końcu 1764 roku swoją pracę w Akademji wileńskiej wykładami matematyki i astronomji. Główną troską jego było zaopatrzenie nowego obserwatorium w najnowsze narzędzia astronomiczne i w tych zamierzeniach znów wspierała go hojna dłoń Pani Kasztelanowej Mściśławskiej, która, dla zabezpieczenia bytu obserwatorium, ustanowiła kapitał żelazny w wysokości 6000 czerwonych złotych a oprócz tego dość znaczną sumą przyczyniła się do zakupna nowych narzędzi. Z tej to sumy Poczobut zakupił u Ramsdena i Dollonda w Londynie potrzebne mu narzędzia, które w r. 1770 nadeszły do Wilna i w r. 1772 już były ustawione. W tym samym czasie powołano Poczobuta na członka Królewskiego Towarzystwa astronomicznego w Londynie; był to zaszczyt, dostępny jedynie najwybitniejszym uczonym.

Mając już doskonale zaopatrzone obserwatorium, oddał się Poczobut z całą gorliwością spostrzeżeniom, w czem mu był niezmiernie pomocnym Jędrzej Strzecki. Jedną z pierwszych ich prac było wyznaczenie szerokości i długości obserwatorium. Położenie to wyznaczyli oni z taką dokładnością, że późniejsze wyniki nie wiele ten rezultat poprawiły. Mimo ciągle przerwy w pracy, spowodowane nieustannym powoływaniem Poczobuta przez Króla, w związku z podniesieniem szkolnictwa w Polsce, pozostawił on po sobie 34 tomy zapisków i obserwacji, które jak się zdaje zginęły bezpowrotnie dla nauki.

W r. 1807, nękany chorobą, oddał zarząd obserwatorium Janowi Śniadeckiemu, a po roku cierpienia zmarł 20 listopada 1808 r. w klasztorze w Dynaburgu, po życiu, poświęconem pracy nad podniesieniem ukochanej, przez siebie nauki w Polsce.

STANISŁAW TARGOWSKI.
(Witold Szreniawa).

Z POBYTU NA NIEDALEKIM WSCHODZIE.

WARSZAWA — KONSTANTYNOPOL.

1919 — 1920 r.

II.

Pobyt w Wiedniu.

Myliby się ten, ktoby przypuszczał, że Wiedeń po usunięciu korony cesarskiej z miejsc i gmachów publicznych odświeżył się, odmłodził i nowym gorętszym tętmem życia zabił. Że może, zbywszy się połączanych emblematów władzy monarszej, sprzedawszy pióropusze i szamerowane złotymi haftami fraki służby przy Burgu, że zbywszy się napuszonej etykiety dworskiej, wyprzedawszy z żelaznych klatek Szoenbruń-

skiego zwierzyńca królów pustyni i puszczy, pozyskał na świetności kulturalnej, że Wiedeń taki, Wiedeń nowy, Wiedeń zmieniony jest Wiedniem lepszym miłszym...

Srodze ten się myliłby.

Wiedeń dzisiejszy spoważniał tylko. Nabral tej cechy, którą ludzi podeszłych piętnują czasy ciężkie, brzemienne w łzy i bóle niepowседневne.

Wiedeń powojenny—to starzec zgrzybiały, który długo jeszcze ludził się zdrowiem kwitnącem i siłą niezwykłą, aż gdy nadszedł moment przełomowy, poczul ruinę swą i tembardziej się osunął, im więcej tę ruinę sobie uprzytomniał.

Wiedeń dzisiejszy smutny, biedny, pogrzebowy..

Wiedeń umierający...

Niema w tem określeniu żadnej przesady.

Trzy razy dziennie w określonych ściśle godzinach można było spożywać posiłek w zakładach publicznych. Pożał się jednak Boże, co to było za pożywienie.

„Ersatz“ „ersatz“ gonił. Przeważnie podawano jarzynę bez okras, a jeśli okraszona, to tłuszczem

Śniadecki nie od razu mógł przystąpić do pracy w obserwatorium. Powołany do Wilna nie tylko jako kierownik obserwatorium, lecz jednocześnie jako rektor, musiał wiele czasu poświęcić sprawom ogólnouniwersyteckim. Z biegiem czasu zajął się obserwacjami, które niezmiernie pilnie prowadził i ogłaszał u Delambra w Paryżu i w Akademii petersburskiej. Pragnął też powiększyć liczbę i jakość przyrządów astronomicznych, jednak brak funduszy nie pozwolił mu na to; Śniadecki ubolewał nad tem mocno, gdyż nie pozwoliło mu to współzawodniczyć z pracami innych obserwatorów zagranicznych. W roku 1815 zwolniony z obowiązków rektora jeszcze gorliwiej oddaje się spostrzeżeniom, z których bardzo wiele ogłosił w wydawnictwie Zacha: „Monatliche Correspondenz“. W r. 1825 został zwolniony z kierownictwa obserwatorium i zamieszkał w wsi w Jaszunach pod Wilnem u synowicy swojej, zmarł w r. 1830.

Następcą Śniadeckiego był jego uczeń, Piotr Sławiński. Kiedy w r. 1832, po zamknięciu Uniwersytetu, obserwatorium przeszło pod zarząd Akademii Nauk w Petersburgu, zamianowano go dyrektorem tegoż zakładu. Sławiński widząc, że położenie obserwatorium w mieście, między ciasnymi uliczkami nie jest korzystnym dla spostrzeżeń, proponował przeniesienie go dalej za miasto; jednak Akademia nie przyznała na ten cel odpowiednich funduszy i dozwoliła tylko na nieco gruntowniejsze przerobienie już istniejącego budynku i przyznała mu fundusz na zakupno nowego narzędzia. Sławiński sprowadził więc z Monachium refraktor Merza i Mahlera, którym obserwował aż do czasu swojego ustąpienia t. j. do roku 1843. Sławińskiemu zawdzięczamy jeszcze pierwszy podręcznik astronomii wydany w języku polskim, a mianowicie: *Początki astronomii teoretycznej i praktycznej, Wilno 1828*.

Po ustąpieniu Sławińskiego prowadził w dalszym ciągu obserwacje uczeń jego i pomocnik Michał Hłuszniewicz i sporo swoich spostrzeżeń ogłosił w czasopiśmie: *Astronomische Nachrichten*.

Od roku 1848 t. j. od czasu objęcia kierownictwa obserwatorium przez Rosjan, rozpoczyna się powolny jego upadek, a kiedy w grudniu 1876 roku część obserwatorium uległa pożarowi, pozostałe przy-

rzędy i bogaty księgozbiór przewieziono do Pulkowa i obserwatorium skasowano.

Ten krótki, bo 123-letni okres czasu, zapoczątkowany świetnie przez Poczebuta i Śniadeckiego wykazał, że nawet w ciężkich warunkach politycznych i ekonomicznych astronomja polska zajęła wybitne stanowisko w rządzie nauki europejskiej. Dużo można mówić o tem co by było, gdybyśmy byli zachowali naszą niepodległość w dalszym ciągu; dziś jednak stoimy przed tym faktem, że szczególnie w tej dziedzinie musimy zaczynać od początku.

W odnowionym Uniwersytecie S. Batorego w r. 1919 rozpoczęto organizację nowego obserwatorium i już w r. 1921 stanął pierwszy pawilon, w którym ustawiono niewielki refraktor. Niestety brak nam funduszy na zakupno narzędzi, odpowiadających dzisiejszym wymaganiom nauki. Astronomja w ostatnich dziesiątkach lat rozwinęła się tak potężnie, że polskie obserwatoria, naogół bardzo ubogie lub będące w stanie organizacji (Wilno i Poznań) nie prędko będą mogły dorównać nawet nie pierwszorzędnym obserwatorjom zagranicznym. Tembardziej, że w Polsce nie znalazł się nikt, kto by wstąpił w ślady wspaniałomyślnego księcia Puzyniny, podczas gdy w innych krajach astronomja zyskała sobie gorliwych protektorów i opiekunów. Wystarczy, gdy wspomnę o jednym tylko fakcie obszerniej.

Oto w Ameryce, w Stanach Zjednoczonych James Lick, który dorobił się olbrzymiej fortuny na fabrykacji instrumentów samogrających, umierając zapisał cały swój majątek na wybudowanie obserwatorium astronomicznego, zaopatrzonego w największą lunetę. Życzeniu jego stało się zadość. Na Mount Hamilton w Kalifornii, na wysokości 1283 m. ponad poziomem morza, stanęło wspaniałe obserwatorium, którego główny przyrząd, refraktor o średnicy soczewki 91 cm. (refraktor obserwatorium wileńskiego posiada soczewkę o średnicy 15 cm.) przez długie lata był największym na świecie; pod jego fundamentami spoczywają zwłoki wspaniałomyślnego fundatora.

I wieki przemijają, a „Lick Observatory“ będzie ze czcią wymawiane przez pokolenia, wdzięczne temu fabrykantowi za stworzenie poważnej placówki nauko-

sztucznym (o ile taki może być tłuszczem), jak margaryną i t. p.

Masła zupełnie nie było. Mięso wydawano w minimalnych porcjach, które zresztą przystępne były jedynie dla ludzi bardzo zamożnych. Mleko było rzadkością. Szczęśliwą mogła się czuć ta matka, która zdobyła jakimś cudem odrobinę mleka dla swego dziecka.

Drożyzna też panowała wszechwładna. Wiedeńczyk pojąć wprost nie mógł tej nagłej stosunkowo różnicy w wartości pieniędzy, jaką zmuszony był przeżywać. Wiedeń przed wojną, ba, nawet podczas wojny, był jednym z tańszych miast Europy. Korona była znakiem pieniężnym, dla wielu mającym znaczną wartość obiegową. To też wiedeńczyk zbiedzony żartował złośliwie (wiedeńczyk żartuje chętnie i zawsze), że korona złota pociągnęła w przepaść i koronę żelazną.

Wiedeńczyki zamierali. Tak. Głód wyludniał to wielkie, prastare miasto, głód trzebił nudne kiedyś i wesołe ulice, głód przechadzał się po Ringach i Praterze. Nędza, niedostatek, choroba, tyfus — czaili

się za każdym węglem domu, czyhały w suterenach poddaszach domów robotniczych, w moźnych pałacach i apartamentach niegdyś potężnych i wpływowych arystokratów i eksellencji.

Berlin — ciastkami i słodyczami pachnący, Wiedeń bez chleba, nawet kartkowego, mrący... Czyż to nie sroga ironja? Czyż to nie Nemezis dziejowa?

I smutnie i boleśnie było w tym tradycji pełnym grodzie naddunajskim. Na każdym kroku uważnego przechodnia bił w oczy arystokratyzm miasta samego, objawiający się w starych, odwiecznych budowlach, gmachach i pałacach w stylu świadczącym o wiekach minionych. Domy te, kościoły i kaplice mogłyby opowiedzieć wiele, bardzo wiele, o wspaniałych wjazdach nuncjuszy papieskich, legatów i posłów, udziałach księząt, hołd i lenno składających cesarzowi Austrii, pierwszemu księciu niemieckiemu Apostolskiej Mości...

Pomniki wodzów i uczonych, królów i poetów... Deutschmeistra, czy też Siebenberga, Beethovena, czy czy też Goethego, Szwarzenberga czy też Radeckiego... Nie wylczyć ich tak szybko.

wej, która już dzisiaj może się pochlubić doniosłymi dla astronomii wynikami.

Takich nazwisk możnaby przytoczyć dziesiątki — i większych i mniejszych. ale niestety, nie u nas w Polsce. My możemy tylko wspominać, że kiedyś znalazła się i u nas taka „mądra i bogata Pani“, która zrozumiała potrzebę nauki i potrzebę jej popierania — ale to było dwieście lat temu.

Dzisiaj obserwatorium Uniwersytetu wileńskiego z trudem może tylko opłacić prenumeratę bieżących czasopism.

S. S.

BORUTA.

Dawne podania narodowe szczególnie uwydatniły nam sławnego djabła *Borutę*. Brzmi jego imię zarówno w tradycji szlachty łęczyckiej, jak u ludu na całym Mazowszu.

Główną jego siedzibą były lochy starożytnego zamku łęczyckiego, a najwięcej psot robił na gościńcu wśród ogromnych błot, co rozdzielały dawny tum od samej Łęczycy.

Budowa tumu z odległych pochodzi wieków: dwie wieże z głazów granitowych wskazują to wyraźnie. Na narożniku lewej, widać ślady głębokie pięciu palców; lud je podaje jako wycisk ręki Boruty, który rozgniewany o to, że w jego dziedzinie wznoszą ludzie kościół, w uniesieniu wściekłym obalić chciał wieżę; ale była niewzruszoną, a Boruta wycisnął tylko na granicę narożny pięć ogromnych swoich palców.

Podanie to wskazuje, że należy on do bardzo dawnych djabłów polskich, bo starszy jest od starego tumu łęczyckiego *).

*) W pobliżu tumu, w błotach niemal samych, stoją prostokątne okopy, zwane w tej okolicy okopami szwedzkimi. Przekonano się, że to jest cmentarzysko z czasów słowiańskich; pod względem bowiem strategicznym nigdy za szafice ani baterje służyć nie mogły. Jakoż przy bliższym badaniu pokazało się, że w dawniejszych latach wydobywano z tego okopiska urny z przepalonymi kośćmi, a przy nich szczątki ozdób do stroju i okruchy starodawnej broni. Łęczycza, ziemi

Chłopkom psoty wyrabiał, wprowadzając ich w błota i topieliska, a kiedy kmieć często podochocony, narzekał i płakał, nie wiedząc jak wybrnąć ze swym konikiem, Boruta śmiał się całą gębą i klaskał w ogromne łapy radośnie.

Ale najwięcej lubiał igrać ze szlachtą, a jakoś charakterem, nawyknięciami i fantazją zbratał się głównie ze szlachtą łęczycką, którą sąsiedzi piskarzami zwali. Za ten przydomek nie jeden karmazyn szlifowaną demeszką miał czoło wybrzdżone, szramę przez policzek lub przez czuprynę, albo ucho obcięte; nazwa jednak piskorza tak przyrosła do imienia Łęczycanina, że jej i ostrze szabli zapomnieć nie dało.

Jeżeli lud dotąd na granicę wieży tumu pokazuje ślad Boruty ręki, jeżeli przypomina małe jego psoty, to szlacheckie podania dokładniej go nam przedstawiają i charakteryzują tak, że zdaje się jakby to był typ prawdziwy dawnego łęczyckiego piskorza. Imię jego zachowało się nawet w szlacheckich klątwach, bo dawniej, gdy jeden drugiemu chciał dogryźć, wołał: Żeby go Boruta zdusił, albo mu łeb ukreślił, a djabel, (mówi podanie) nieraz spełniał życzenia te, w gniewnym wymówione zapale. Posłuchajmy tradycji szlacheckiej o naszym Borucie.

I.

W pobliżu zamku łęczyckiego mieszkał szlachcic niewiadomego nazwiska i herbu, rosły i silny. Nikt z nim mierzyć się nie mógł na szablę, bo za pierwszym złożeniem, potężnym zamachem przeciwnikowi wytrącał oręż z ręki. Jak się raz plecami o zrab domu oparł, całe sąsiedztwo nie dało mu rady; a wiadomo, że wtedy nie używano ognistej broni, tylko szabli. Strzelbę uważano za broń zdradziecką, szablę za ho-

Kieleckiej niegdyś stolica osobnego księstwa, wspominaną jest w kronikach od XI wieku. Była siedzibą różnych rodów książęcych w czasach podziałów dzielnicowych, a od Władysława Łokietka przeszła na własność korony. Zamek w Łęczycy wznosił Kazimierz Wielki w XIV wieku a zniszczyli Szwedzi w XVII. Rządy pruskie wzmocniły zamek ale wojska austriackie zrujnowały go, ponownie w 1809 r. Mury rozwaliły się ostatecznie w połowie XIX wieku, i zostały rozebrane za czasów rosyjskich. Dziś są tylko ślady szczątków zamku i wśród ludu kwitną o nim różne klechdy i podania. Ilustrujemy tutaj jedno z najczęściej wspominanych a zanotowanych przez Kaz. Wład. Wojcickiego.

Gdzież się więc podziła sława Habsburgów potężnego rodu?

Odeszli, jakby na daleki wójaż się udali... Tylko życie w ich siedzibach doniedawnych zamarte, świadczy, iż władcy ich odbieżeli nazawsze.

W Szoenbruńskim zamku Napoleon po trudach znojących odpoczywał. Tutaj doń Walewska przyjeżdżała i sen o Polsce roiła. Tutaj... ah, i pocóż minione wywoływać dzieje.

Odwieczny park cesarski szumi konarami swych drzew, szeleści liści zielonemi, nęci wonią lip, topoli i cyprysów, pomarańczy i świerków.

A w końcowej, części wspaniałego parku kona z głodu król pustyń afrykańskich, złotogrzywy lew, i chwije monotennie łeb szary niedźwiedź Skalistych Gór, a centkowany tygrys jeno miauczeniem głuchem żegnać jest zdolen swych współtowarzyszy...

Do wiecznego snu układają się potentaci świata tego.

Tempora mutantur...

Divida et impera. Dziel i panuj: zasada ta zgubiła to piękne miasto i na zatracenie wydała lud. Nie,

lud nie zaginie. Jenó zdieśiatkowany do pracy się nowej weźmie, a wnet warsztat zahuczy nowem tętnem, zawarczy nowa maszyna...

Bo gdzie taki piękny uniwersytet, politechnika, gdzie takie wspaniałe muzea? Trudno przypuścić, iżby skon tak raptownie mógł przyjść.

Parlament — gmach rozległy, obszerny: strzegą doń wnijscia rozhukane rumaki prowadzone na uzdzie dłonią silną gladiatorów rzymskich czy rycerzy... Czyżby to był symbol niedawnej przeszłości?

Tempora mutantur...

Nie łatwo jest dotrzeć do muzeów, które, zdawałoby się, gościnnie zapraszają cudzoziemca ciekawego do środka, by nagromadzonemi skarbami o przepychu swym opowiadać.

Służby brak. Raz w tygodniu można je zwiedzać kolejno, każdego dnia inny gmach. Służba bowiem się zmienia kolejno; raz tego strzeże gmachu i sprzęta, raz drugiego.

Na niektórych ścianach, wśród bogatych zbiorów galerji obrazów włoskiej szkoły, szczególnie świecą miejsca puste, niedawno znać obnażone z pod unie-

norową. To też ów szlachcic, dzielny rębacz, tak wywijał młynka demeszka swoją, że jednym powytracał szablę z ręki, drugich tak obciosał, iż uciekli jak oparzeni.

Ztąd nasz szlachcic dostał przydomek Boruty, bo mówiono powszechnie, że musiał mu djabeł Boruta pomagać, kiedy z całego zaścianka wszyscy nie podolali mu razem; a że nosił siwą kapotę, dla różnicy więc od prawdziwego djabła, dostał przydomek Siwy.

Od owej chwili każdy go mijał lub ustępował mu z drogi; nawet w gospodzie rozóchocona szlachta, kiedy porwała się do szabli, na sam głos Siwego-Boruty wybiegała do sieni albo na podwórze, itam karbowala sobie dymiące łysiny.

To uszanowanie, a raczej ta bojaźń sąsiadów, co znali moc żylastej ręki, wbiła go w dumę. Uniesiony nią, nieraz się w zuchwałej przechwałce odgrzązał, że jak złapie prawdziwego Borutę, to mu żebra połamie albo karku nadkręci. a skarby których pilnuje zabierze.

Uważano kilkakrotnie, że wtedy słyszeć się dawał w piecu lub za piecem śmiech szyderycy.

Siwy-Boruta kiedy pił, a pił nielada, bo go najętsi bracia piskorze nie mogli przepić, zawsze pierwszą czarę wypijał za zdrowie djabła Boruty, a wtedy zaraz rozlegał się głos gruby, przeciągły, jakby z podziemnego lochu: „Dziękuję waszmości“.

Siwy-Boruta miał dużo pieniędzy, ale wkrótce w hulance je roztrwonil; postanowił przeto dostać się do skarbów w lochach łeczyckiego zamku i wziąć z parę mieszków złota od swego miłego pana brata, jak nazywał djabła Borutę.

O samej północy, zapaliwszy latarnię, zuchwały szlachcic, ufając swojej sile i szabli, którą dobrze wyostrzył i przymocował do ręki rzemieniem, poszedł do lochów, latarką rozświetlając sobie ciemność dokoła panującą. Ze dwie godziny chodził po zakrętach, i narrescie, wybiwszy drzwi jedne, żelazne, ukryte w murze, ujrzał rozsypane skarby; w kącie, na bryle złota, siedział sam Boruta, w postaci sowy z iskrzącymi oczyma.

Poznał go od razu, bo pod pierzem przeglądał kontusz i żupan, rogatywka, buty

z cholewami żółte, a szablę dobytą z pochwy trzymał pazurami.



sionego stąd arcydzieła. A na ścianie widnieje ciekawy napis kustosza ręką nakreślony a wszem, całemu światu i każdemu z osobna mówiący, iż włosi zbroją ręką wydarli skarb ten lub inny, czasu wojny europejskiej i upadku dziedzictwa Habsburgów.

Zdaje się jednak, że niesłusznie, mimo wszystko oskarżani są tutaj włosi: traktatem zawarowali sobie na austryjakach zwrot zrabowanych im niegdyś arcydzieł sztuki malarskiej.

Jeśli do muzeów i galerji nie codziennie można pójść, to za to do teatrów wstęp otwarty. W bilety jednak zawczasu trzeba się zaopatrzyć. Przepelnienie bowiem wielkie. Czy opera, dramat, komedia lub farsa, ba, operetka nawet (dziw, jak można tańczyć na gładno) gromadzą widzów.

Byłem w operze, kiedy dawano „Królową Sabę“. Dla stałego bywalca teatru i wielbiciela opery, wieczór ten mógł być zdarzeniem pierwszej wagi. Tembardziej dla przeciętnego widza i słuchacza.

Trzeba jednak podkreślić, iż publiczność opery wiedeńskiej, acz również jak gdzieindziej znacznie się przewarstwowała i nowymi siłami się wzmocniła, to

jednak jest o wiele więcej wyrobioną muzykalnie od naszej stołecznej; spoglądając z góry na widownię, spostrzedz można wielu prawdziwych melomanów z otwartymi partyturami, uważnie śledzących akcję toczącą się na wielkiej scenie. A jakie skupienie uwagi, jakie wyteżenie słuchu i wzroku! Ze sceny zaś płyną tony muzyki prawdziwej; słyszy się arcydzieła poezji muzycznej najętszych twórców operowych w wykonaniu artystów wytrawnych, starannych i utalentowanych. Scena uczy widownię, a widownia zaś umie wymagać, odczuć i uznać.

Operetka jednak słaba, równać się z naszą warszawską nie może. Pod tym względem nasz dyr. Śliwiński może być zupełnie spokojny, iż scenie jego nie prędko Wiedeń dorówna, bo o zdystansowaniu mowy być nie może.

Opera jednak dla oszczędności światła rozpoczyna swoje przedstawienia już o 3¹/₂ g. po południu, jeśli rzecz na repertuarze jest dłuższa, lub o 4 pp., jeśli krótsza.

Kto jednak, mimo wielkiego zamiłowania dla sztuki, dbały jest o swoją cielesną powłokę i głodu

Zbladł i zadrżał na ten widok zuchwały dotąd szlachcic i spocił się potężnie ze strachu; po chwili jednak, przyszedłszy nieco do siebie, wyrzekł z cicha z ukłonem i pokorą.

— Mnie wielce miłościwemu panu bratu kłaniam uniżenie.

Sowa kiwnęła głową, co rozweseliło i ośmieliło Siwego-Borutę. Ukłoniwszy się raz jeszcze, zaczął wypełniać złotem i srebrem ogromne kieszenie swej kaptoty i wory które przyniósł ze sobą. Tak je wyładował, że ledwie mógł się obrócić.

Już świtać zaczęło, a nasz szlachcic nie przestawał garściami ściągać złoto; w ostatku, nie mając go gdzie chować, począł sobie w gębę sypać, a że miał niemałą, nasypał dosyć, i znowu ukłoniwszy się pierzastemu stróżowi, wyszedł z lochu.

Zaledwie stanął na progu, kiedy drzwi się same zatrzasnęły i ucięły mu całą piętę. Kulejąc a krwią znacząc ślady kroków swoich, przeladowany skarbami, dobywając ostatków siły tak dawniej potężnej, ledwie doszedł do swego dworku.

Upuścił na podłogę złoto i srebro. wypluł z napchanej gęby, a sam padł wysilony i chory. Odtąd miał dużo pieniędzy, ale stracił zdrowie. Przeszekał krótkie już życie, i gdy w kłótni o miedzę graniczną wyzwał sąsiada, szlachcic ten, którego dawniej jednym palcem obalał Siwy-Boruta, pokonał bogacza i zabił.

Dworek jego stał pustkami, bo nikt go zamieszkać nie chciał. Djabeł Boruta odtąd często przesiadywał w starej wierzbie co na podwórzu rosła, skąd odwiedzał także izbę i alkierz, zabierając i przenosząc pozostałe skarby napowrót do lochów zamku łączyckiego.

II.

W ciemnym lochu łączyckiego zamku, przy rozpalonej drzazdze smolnej, siedział na beczce jakiś wąsаты szlachcic i pił z antałka. Miał na sobie karmazynowy żupan, pas złotolity, na rzemyku szablę; czapka rogatywka z siwym barankiem nie przylegała mu należycie, jakby coś jej zawadzało; jakoż kiedy chciał się poskrobać po głowie, ujrzał przy ręku pięć ogromnych pazurów, a za uchYLENIEM czapki, małe czarne rogi. Był to djabeł, pan Boruta, co pil-

nował skarbów zaklętych w zamku, pozostałych w ukryciu od dawnych udzielnych jeszcze książąt mazowieckich. Twarz miał wielką, rumianą; wąs potężny, obwisły, spadał mu wraz z brodą na piersi; wzrostu wielkiego, szeroki w plecach, oczu iskrzących. Zachmurzony siedział na wypróżnionej beczce po małmazji, ale kiedy miał się uśmiechnąć, wąsy podkręcał w górę i aż za duże uszy sterczące zakładał.

— Już dosyć wysiedziałem się w tem loszysku ciemnym i wilgotnym (mówił do siebie Boruta); niema co i pić dalej, ostatni antałek węgryna za chwilę wysącze. Zresztą myślę, że nikt się teraz nie poważy zajrzeć do tych skarbów, a jakoś tu tęskno i nudno. Sto lat tak siedzę na jednym miejscu, gdzie zawsze ciemno, chłodno, ponuro; a na świecie słońko świeci, ptaki i ludzie wesoło śpiewają, kapele brzmia, szlachta ucztuje rada. Trudno wytrzymać dłużej! Hulaj dusza bez kontusza! Zamknę loch i przejdę się pobawić, aby dobrze przyjęto gościa.

U szlachcica Kaliny, o milę od zamku łączyckiego, we dworze ponad błotami i jeziorom, brzmi huczna kapela, wydaje on bowiem za mąż najstarszą córkę.

Ćma krewniaków i sąsiadów napełniła całe domostwo; beczki z miodem, piwem i wódką stały w sieni, na ganku, w izbach, bo pan Kalina, zamożny szlachcic; dziedzic całej pół wioski, dobył woru z zapleśniałymi talarami, nie żałując wydatku na tak wielką dla siebie uroczystość. Już było po ślubie, wytoczono dzieżę od chleba, aby na niej pannę młodą oczepić, a kapela zaczęła brzmieć pieśń starą o chmielu, znaną nie tylko na Mazurach, ale w całej Polsce, kiedy we drzwiach ukazał się nowy gość niespodziewany.

Ubrany był w karmazynowy żupan, pas złotolity, czapkę rogatywkę z siwym barankiem; na rzemyku szabla, rękawice czarne, buty z wywijaną cholewą i ogromnymi ostrogami. Jak stanął we drzwiach, całe zawalił; kiwnął głową, nie zdejmując czapki, przeszedł dalej i usiadł na ławie.

Kapela grać przestała, pieśń chmielowa ochotnikom na ustach skonała, niewiasty przerażone tuliły się do kąta. Gospodarz, ujrawszy na wszystkich twarzach pomieszanie, zbliżył się do nieznanego i rzekł:

nie lubi, ten winien był się zabezpieczyć już naprzód, aby po ukończeniu przedstawienia mógł posilić się w domu u siebie, bowiem w żadnej restauracji nic naówczas dostać nie było można.

Już o 9-ej wieczorem kuchnie we wszystkich zakładach publicznych zamykano. A chociaż kawiarnie co większe i kabarety otwarte, to jednak w nich prócz ciastek, tortów, napojów chłodzących, herbaty z sacharyną, piwa i czekolady, nic więcej się nie dostawało.

Coprawda stali bywalcy świata wesołego (uczciwszy uszy) opowiadali bogobojnym o nocnych lokalach, t. zw. przenośnych, gdzie właśnie dopiero po północy zabawa w najlepsze się zaczynała, gdzie wino strugami się lało, gdzie sznycle wiedeńskie prawdziwe (z jajkiem) „serwowano“. Ale o tem zwykły śmiertelnik wiedzieć nie mógł. Wiedzieć o tem również nie mogła i policja, która b. skrzętnie szukała takich nocnych lokali, nieproszona weń się wdzierała i rozbawione towarzystwo uprowadzała ze sobą w mniej sympatyczne lokale, t. zw. hotele miejskie, gdzie za darmo otrzymywali schronienie na dalszą część nocy,

aby nazajutrz uiszczać dość wysokie kary pieniężne, lub volens nolens zgodzić się na darmowe odżywianie. Że te wizyty policji nie były przez gości wesołych lokali nocnych dobrze widziane, najlepszy tego dowód, iż te lokale stałe koczowały z jednego domu do drugiego, z jednego okręgu miasta do innego, znajdując czasowe schronienie w obszernych apartamentach prywatnych, chętnie na ten cel wynajmowanych za wysoki czynsz.

Wszak Wiedeń i w żałobie o zabawie zapomnieć nie mógł. Głód zaś i choroba—nie wytrąciły tak bardzo wiedeńczyka ze stałego różowego zapatrywania na świat, jego urządzenia i stosunki z ludźmi.

Ah, ci ludzie!

Wstyd mimowoli człowieka ogarniał, gdy widziało się na ulicach oficerów b. armji cesarsko-królewskiej, w swych szarych wojennych lub czarnych i granatowych mundurach o złożonych kołnierzach, sprzedających gazety lub handlujących drobnymi przedmiotami, jak np. pomadką, szczotkami, jajkami, papierosami; zapalkami i t. p.

— Panie bracie! zawsze możecie u mnie jeść chleb z solą, byle z dobrą wolą; ale nateraz nie prosiłem waszeci... więc...

I wskazał drzwi otwarte.

Nieznamy pokręcił głową, na znak, że nie wyjdzie, i wybąknął od niechęcia:

— Pić!

Pan Kalina kazał podać gąsior z miodem i czarę, ale nieznamy czarę rzucił na ziemię, przytknął do ust gąsior i wypił go do kropli. Szlachta łeczycka klaszcze z radości, wołając: to nasz brat! to nasz brat!

Nieznamy uśmiechnął się wesoło, pokręcił wąsy w górę i aż za uszy założył, a widząc beczkę miodu, porwał ją, postawił na stole, czop wyrzucił i rozdziawił paszczę, lękając strumień napoju z szumem tryskający.

Wszyscy z podziwieniem otoczyli wieńcem nieznamy; niewiasty i panny postawały na stole i ławach, patrząc na pijaka. Nieznamy lękał, sapiąc tylko nosem; wkrótce uniósł beczkę, potem dobrze przychylił, aż w końcu, niema miodu, wszystko wytrąbił gracko.

Wtedy połą otarłszy z piany wąsy, usta i brode, krzyknął: kapela! chmiela! i porwał za rękę pannę młodą. Wrzasnęła przestraszona dziewczyna, a gdy ją ciągnie, nie zważając na jej trwogę, staje w obronie narzeczonej pan młody i wyzywa zuchwalca na szablę.

Nieznamy ociągnął się, ale gdy mu nowożeniec wyciął policzek, że za ledwie przytrzymał czapki na głowie, a od innej szlachty poczuł na karku silne razy, zawołał: po jednemu, po jednemu proszę z sobą w taniec! I wyszedł na podwórze. Zawył psy, jakby wilka poczuły: szlachta wybiegła za nim, żeby nie uciekł; zapalono łuczywa, wyniesiono świece i zajaśniał podwórzec, jakby od słońca w południe.

Nieznamy dobył szablę i spojrzawszy iskrzącym wzrokiem, gdy pan młody krzyż święty na ziemi swoim kordem znać. Aż się skry sypnęły za złożeniem szablę; nieznamy dobrze się bronił, znał krzyżową sztukę, ale pan młody z ręcznej nacierał; widząc zaś że mu nie podoła, przerzucił z prawej ręki kord w lewą, czem odurzony przeciwnik, nie dostrzegł cięcia i oberwał potężnie po ręce. Obciął mu dwa palce, spadła czarna rękawiczka, nieznamy wypuścił z zakrwawionej dłoni szablę, aż tu kur pieje.

Stęknął ranny, podskoczył i znikł z koła otaczającej go szlachty, zostawiając na ziemi pas złotolity, rękawicę zbroczoną i szablę. Gdzie stał, zakipiało tylko trochę smoły, a gryzący zapach siarki uderzył we wszystkie nosy.

Pan Kalina podnosi pas, porywa rękawicę wstrząsa: wypadają dwa wielkie pazury z kawałkami palców. Pan młody patrzy na szablę; to pogańska! niemasz na



Z pomiędzy inteligencji najbardziej pożałowania godni,—to właśnie byli c.-k. oficerowie. Odpadki rozbitej, zdeorganizowanej, wielkiej c.-k. armji, bez środków do życia, bez nauki i stanowiska—stanowili oni bezbarwny tłum bezpańskich sług, którzy niczem są, gdy im panów nie stało.

A jednak spotykałem wśród nich ludzi zacnych, uczciwych, serdecznych.

Tempora mutantur...

Wielu z nich wstąpiło do służby wojskowej w nowo zorganizowanych armjach: polskiej, czechosłowackiej, rumuńskiej i Słowian południowych. Gdzie który z nich czuł dla siebie lepsze stanowisko, gdzie którego ciągnęła protekcja, znajomości.

Często bardzo nie odgrywały tutaj żadnej wagi względy patryjotyczne.

Najlepszy tego dowód miałem, gdy zmuszony byłem zetknąć się służbowo z urzędem naszego pełnomocnika wojskowego, gen. Nowotnego, zasiadającego w gmachu przy placu Szwarzenberga Nr 3.

Urząd gen. Nowotnego przepelniony był oficerami służby austriackiej, źle przeważnie mówiącymi po polsku, używającymi nawet w stosunkach służbowych ze sobą języka niemieckiego. A byli wśród nich i czesi i t. zw. wiedeńscy. (Ciekawy był ten rodzaj oficerów w b. c. k. armji narodowości „wiedeńskiej“). Dziwili się nawet, kiedy się ktoś do nich po polsku odezwał, prosili o rozmowę w języku niemieckim, dla nich lepiej zrozumiałym. Ot, nowi patryjoci polscy, z rozbitej armji habsburskiej.

A zadanie tego urzędu było b. ważne. Likwidacja upadłej monarchji, odbieranie dla państwa polskiego przypadającej słusznie części dziedzictwa.

Smiem twierdzić, że niewiele Polska otrzymała z tego spadku...

(D. c. n.)



niej znaku krzyża świętego, tylko księżyc turecki. I wołają wszyscy: Boruta! Boruta!

W ciemnym lochu łączyckiego zamku przy rozpalonej drzazdze smolnej, wąsaty szlachcic w karmazynowym żupanie, bez pasa i szabli, w czapce rogatywce, ale z pocięciem sukna i siwym poszarpanym barankiem, leżał na dwóch próżnych beczkach lizał rękę okaleczoną, z trzemi potężnymi pazurami, bo dwóch brakło, i tak prawił do siebie:

— Nie wyjdę już więcej na świat. Rano dobrze było, kiedy się wygrzał na słońku; ale wieczorem cóż zyskałem z tą przekłątą szlachtą, z tymi piskorzami, co klaskali jakem pił gracko, a potem wyzwali na rękę. Myślałem, że im przecie podołam, aleć oni lepiej robią kordem jak sam djabeł. Zgubiłem pas i szablę, dwa pazury, pocięli mi czapkę, skaleczyli rękę, a co najgorsza poznali, że Borutę obcięli.

I kręcił ze złości wąsy, darł brodę, a lizał rękę zranioną.

Odtąd już więcej z lochu zamkowego nie wyszedł łączycki djabeł.

* * *

Jak widzimy z tych podań, Boruta był w swoim charakterze szlachcicem, lubo zawsze zachował wyraźnie piętna prawdziwego djabła. Z ludem mało się wdawał, chyba żeby mu psotę wyrządzić, napędzić

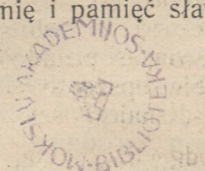
strachu i łzy nieraz wycisnąć; ale ze szlachtą, to za pan brat radby się bawić i weselić. Pił lepiej jak najtęższy piskorz — wybornie się rąbał — ale znalazł lepszego od siebie gracza.



Źródłosłów jego nazwiska wskazuje, że pierwiastkowo ród swój wywodził z ciemnych borów; dawne ludowe podania wspominają nawet o djable Borucie, co zamieszkiwał gęste lasy i puszcze nieprzebyte. Nasz jednak Boruta widać nie lubił cichej ustroini borowej, bo przeniósł się do lochów łączyckiego zamku, skąd bliżej było ludzi, a szczególnie szlachty, za której towarzystwem tęsknił, dopóki mu krwawej nauki nie dała. Chociaż ubierał się po szlachecku, przymioty właściwe djabłu zachował wyraźnie; dlatego przybierał na siebie postać sowy, owego ptaka co był wróżbitą śmierci. Lubiał wylegiwać się w starym piecu i przesiadywał ochotnie w wypróchniałej wierzbie.

Dziś na osuszonych błotach pod łączycą już nie straszy i nie zwodzi Boruta podróżnych kmiotków, nie zaciąga ich w trzęsawiska i topiele. Wspaniały niegdyś zamek łączycki poszedł w ruinę; z gruzami wszelako starego gmachu zespoliły się imię i pamięć sławnego niegdyś djabła.

K. Wł. W.



JULJA WICHERT-KAJRUKSZTISOWA.

SZEPTY MIŁOŚCI.

*Nie wierzcie mi... ja jestem tylko fala
Co drząc miłośnię, całuje senny brzeg,*

I szeptem go kołysz

W wieczorną omgleń ciszę,

Przezrocza i omdlała

I pianą śnieżnobiłą

Upieści go, rozmarzy się, oddala

Nie wiedząc gdzie swój skończy bieg:

Nie wierzcie mi... ja jestem tylko fala.

Nie wierzcie mi... ja błędny ognik jestem

Co w mrokach nocy utudnym blaskiem lśni:

Chcesz ująć go w twe dłonie —

To gaśnie, to znów płonie —

To tęcze ognia nieci —

To złotem zorzy świeci —

I z tajemniczym ginie gdzieś szelestem

I w toń cię wabiąc, lekko drży...

Nie wierzeie mi... ja błędny ognik jestem.

Nie wierzcie mi... ja jestem kwiat paproci,

Co raz zakwita w wizyjną czarów noc,

I kryje się w puszczy cieniu

A dotkniesz go — w marzeniu,

Bo w twojem łonie

Tęsknotą zawsze płonie...

— Znajdź! życie ci czarem baśniowym ozłoci

Bo cudotwórczą ma on moc...

Szukajcie mnie!... Ja jestem kwiat paproci...

Emma z Jeleńskich DMOCHOWSKA

jako działaczka społeczna i powieściopisarka.

II.

Twórczość literacka jest wogóle zazdrośna. Wymaga oddania się całkowitego sobie, pielęgnowania własnych wrażeń, zmieniania otoczenia, szukania nastrojów sprzyjających artyzmowi, słowem — wymaga używania życia według własnej, fantazyjnej nieraz wrażliwości.

To tłumaczy dlaczego w dobie niewoli, nasze pisarki — obywatelki, stawiając sobie obywatelskość narodową za cel życia, nie wsłuchiwały się duszą, w osobiste nastroje, i nie dogadzały sobie, ale dawały piórem i czynem pokarm narodowi. Ucierpiał może na tem artyzm, bo tendencje utworów zjadały piękno po części. Ucierpiała może ich sława jako twórczyń i artystek, ale zyskały one przez to uwielbienie i miłość w narodzie, oraz uznanie myślicieli i walczących na wielkim forum narodów o jaśniejsze jutro dla człowieka wolnego i ulepszanego.

Taką twórczynią była Emma Dmochowska. Utwory jej przetłumaczono na niemiecki, czeski i rosyjski języki.

Współczesne nasze pokolenie powojennej doby najmniej może zna jej utwory, nieraz bardzo utalentowane i mające szeroki przestwór myślowy. I to jest krzywda tego pokolenia, gdyż zdrowy pokarm żywi myślenie. Przy obrachunku naszego dorobku narodowego, przyszłość podniesie znaczenie pisarek i pisarzy tego pokroju, a wtedy twórczość Emmy Dmochowskiej zostanie należycie ocenioną.

Tutaj naszkicujemy tylko w ogólnych zarysach obraz jej prac powieściopisarskich.

Jaką była ideologia Dmochowskiej?

Rodzina, wychowanie, ziemia ojczysta, kultura polska w dziejach i życiu współczesnym, rozszerzanie oświaty na najszersze warstwy, oraz ta ciężna duchowa wobec wszelkich jej gasicieli rządowych i prywatnych, wrogich, a nieraz, niestety, i swojskich!

To były jej ukochania.

Musimy sobie uprzytomnić, że były to czasy niewoli i tej głuchej walki i kamiennej odporności społeczeństwa polskiego na kresach, wobec oficjalnej siły, t. zw. Ukazu Grudniowego. Jako pokutę za rok 1863 — żaden Polak i katolik nie mógł na Litwie i Rusi kupić nawet kilku łokci ziemi inaczej... jak na trumnę.

Pierwsza powieść Emmy, nagrodzona na konkursie im. Prusa w Kurjerze Codziennym, dotyka właśnie tego problemu walki o ziemię i polskość na kresach, a dotyka artystycznie, w ramach owoczesnej cenzury.

Tytuł jej: *Panienska*. Akcja toczy się na Polesiu wśród szerokich przestworów przyrody, i krajobrazów cudnych lasów, łąk, rzek i moczarów. Idzie o obronę starego ziemiańskiego dworu, rodzinnego gniazda, przed niedołęzstwem jego posiadaczy, i utracją zostawieniem panicyzka, dziedzica, zapatrzzonego w świetność życia petersburskiego, i pogardzającego sielską swojskością. Tu jest problem wynarodawiania przez rządowe obce wychowanie, rusyfikowania przez karierę i brak antidotum domowego w postaci małodusznej i próżnej matki. Próżność i pycha syna, uczonego u klamek dostojników petersburskich, kończy się ożenieniem z rosjanką. Tu już zaślepienie macierzyńskie pryska i niewytrzymałe jej pobłażliwość. Umiera, ale synowej wrogięgo narodu do rodziny swej nie przyjmuje.

Tężyżnę swą, nieszczęśliwe kresy zawdzięczały tej właśnie sile oporu rodzin polskich, przed pokojową inwazją. I póki ona w sercach polskich kobiet nie osłabła i działała hamująco na „mezaljanse”, póty rodzina polska zachowywała swoją tradycyjną spistość, i niewzruszalność, a pod portretami prababek, nowe przybyszki z cudzoziemskich, nieraz podejrzanych kątów, nie zasiadały, i nie uczyły szczebiotania okaleczoną mową rosnących pokoleń.

W „Panience” — obraz takiego dramatu rodzinnego jest niezmiernie prawdziwy i życiowy, fotograficzny prawie. Na tem tle, sama „Panienka” walczy po bohatersku i zapiera się osobistego szczęścia w obronie domu i ziemi, której wtedy z rąk wypuścić nie było wolno — bo to znaczyło bezpowrotność i współdziałanie z kolonizacją wrogów.

To powieść wysoce obywatelska którą krytyka postawić może obok „Dwóch Biegunów” i „Ad Astra” Orzeszkowej.

Dwór w Haliniskach dwutomowa powieść, ma tę samą ideję przewodnią ale inaczej ujętą. To obrona ziemi przed sprzedażą dobrowolną w imię źle zrozu-

mianych zadań życiowych i religijnych obowiązków. Ta wielka dama i jej córka są polkami z imienia, ale do obowiązków dla swego narodu się nie poczuwają. Chcą sprzedać ziemię odziedziczoną po przodkach aby, mieszkając zagranicą, założyć w Rzymie jeszcze jeden Polski Zakon „Siostr Bolejących“ i tam być przełożonemi.

Cała intryga powieściowa, osnuta koło tej osi, daje pole autorce do ciętej satyry stosunków i typów, nie przesadzonej a dziwnie, niestety, realnej. Sliczne są opisy opuszczonego dworu, i dzieci wiejskich o których oświatę nikt niedba, oraz mądra krytyka typów wypranych z uczuć narodowych.

Dziwnie za to pięknym jest typ polskiej Babuni i polskiego dziewczęcia sprowadzonego do Rzymu, a nie dającego się olśnić blichtrzem i fałszywą pobożnością.

Rzadko można spotkać tak malownicze, a zarazem treściwe opisy Rzymskich miejscowości i widoków.

W owe czasy ucisku religijnego i narodowego, opis audjencji polskiej pielgrzymki u papieża, to wyodrębnienie jej, jako narodu wiernego tradycjom, ta zbiorowa dusza polska patrząca w jedynego władcę co ją uważa za narodową to robiło wielkie wrażenie, bo odtwarzało rzeczywistość owoczesną.

Wogóle, rodzaj talentu Dmochowskiej, wykluczającego fantazję i wyobraźnię, doskonale dokumentuje swoje epokę.

Powieści: *Z miłości, Na wiosnę, Obrączka, Kobieta puch marny*, dotyczą afirmatywnie i negatywnie problemu małżeństwa, rodziny, i wychowywania dzieci. Obrazki życia współczesnego są realne, nawet aż do zachowania w pewnych typach prowincjonalizmów kresowych. Sytuacje są uchwycone i oddane nieraz z wielkim dowcipem i umiejętnym zestawieniem kontrastów.

Jako przyczynę rozstroju wielu niedobrych małżeństw, autorka uważa zaznaczanie różnic umysłowych między mężczyzną a kobietą, i przeciwstawianie ich sobie. Żona uważa się za rozgrzeszoną z niezajmowania się społecznymi sprawami, „bo to nie kobieca rzecz“.

Mąż uważa, że nie trzeba nic mówić żonie o swoich pracach i myślach, „bo to nie babskie sprawy“. Żona jest od ozdabiania życia i mieszkania a koledzy i kluby od podziału myśli. W rezultacie, znajdują się sąsiedzi i kuzynowie, sąsiadki i kuzynki co zajmują opuszczone domowe placówki, i dramat wybucha — uniemożliwiając wzajemne zrozumienie się i życiową zgodność.

Autorka uważa, że więcej celowe jest sprawdzanie różnic między męskością i kobiecością, pod względem umysłowym, do wspólnego mianownika, do człowieczeństwa.

W typach dwóch płci różnorodność ujęta jest trafnie, z wielką dbałością o zachowanie wdzięku kobiecego.

Najdonioślejszą znaczeniem jest powieść p. t. *Matka*.

Daje się ona czytać z pożytkiem niemałym i dzisiaj, jako fotografia skutków i przyczyn tej zamało dostrzeganej pragmatyki. Najuczciwsza i obowiązkowa matka kocha swe dzieci, ale fizycznie. Rozkoszą jej jest słuzenie im, całowanie, pieszczenie ich ciała, ubieranie. Moralnie zaś uważa za najważniejsze, danie dzieciom „dobrych zasad religji i moralności“.

A dawanie owo rozumie jako wyuczenie ich dośłowne, mechaniczne. Dziecko uważa za swoją włas-

ność i to taką, która musi myśleć, mówić i działać jak myślą i mówią rodzice. Najłżejsze osobiste dziecięce pomyślenie, wątpliwość, protest, uważa za osobistą obrazę, „bo mamusia nie tak mówiła, a mamusi trzeba słuchać, bo Czcij Ojca i matkę etc“. A gdy dziecko, po pewnym namyśle zapytuje: „A jak Mama z Papą kłóca się, to kogo trzeba czcić?“ — mama wpada w zdumienie i w gniew kończący się gderaniem za manjery i t. p. błahostki, wcale niewspółmierne do początku kwestji.

Hodowanie kilkorga dzieci wypełnia jej życie, a niedawny półbożek zajmuje ją o tyle, o ile interwenjuje w kwestji nianiek i wszelkich potrzeb dziecięcego pokoju.

Nie pozwala sobie, aby ją zajmował mąż i jego sprawy, bo... „ona jest dobrą matka i żyje dla dzieci“.

Ta scena, zrobiona mężowi, gdy raz kogoś zaprosił do domu, ten lęk „że mi jeszcze zarazę jaką przyniosą dla dzieci“ jest znakomitą, jako patent na ciasnotę duszy, która nie może jednocześnie pomieścić dwóch uczuć: matki i żony.

Zostaje tylko matka, i to fizyczna, święcie przekonana, że „żoną“ przecież jest już i zostanie aż do śmierci.

Gdyby zająć się można statystyką i psychobiografią t. zw. „zdrad mężowskich“ okazałoby się z pewnością, że najwięcej ich przypada na epokę ubóstwienia przez „dobre matki“ ciała dziecięcych i hodowli ich nietyle opartej na racjonalnej higienie, ile na całowaniu i fizycznej pieszczocie. A gdy półbożek stracony z piedestału wplącze się w jakiś dramat, i wniesie go w rodzinę — nieszczęście uważa się za zesłane przez zły los.

A gdy dzieci pójda do szkoły, matka, żyjąc dla nich, staje przed nimi bezradna, bo one nasiakają czem się da, i ona je zupełnie przestaje rozumieć, mechanicznie pilnując czwórek i piątek.

W owe czasy, po roku 1906 dzieci w szkole rosyjskiej toną w socjalistycznych kołach, i zatracają najszlachetniejsze swe popędy, unieszczęśliwiając rodziców i siebie.

Powieść ta—to wielki kawał życia i przyglądnięcie się mu dzisiaj też, jest bardzo pożyteczne, i daje wiele do myślenia, o przyczynach rozdzwięków między dwoma pokoleniami.

Z dwóch tomów nowel, *Jubileusz i Bociany* budzą może najwięcej refleksji. Jubilat, czczony przez społeczeństwo jako filar zacności — wie, że nim nie jest, bo skrzywdził i porzucił kobietę. I w dzień uroczysty, cichy a mocny wyrzut sumienia daje mu to poznać, w znakomitej autoanalizie. *Bociany* dają psychologję zbankrutowanego na zdrowiu i kieszeni utracjusza w obliczu śmierci.

W *światłokręgu lampy* maluje artystycznie w króciutkim obrazku przeciwstawienie spokoju rodzinnego życia, przeciuciom złowieszczym idących kataklizmów społecznych. Pessimizm tutaj nie jest rozłożony nadzieją Zmartwychwstania. Czuć grozę roku 1905.

Przefiltrowana przez cenzurę rosyjską nowela oznaczona znakiem zapytania, daje przekrój duszy rezerwisty polaka w wojsku rosyjskim, wyrwanego z siedziby i rodziny, który umiera od strzałów japońskich na polach Mandżurji, odchodząc w wieczność ze słowami: „Za co?!“

Sliczną jest legenda o św. *Kazimierzu*, która swego czasu w Tygodniku Ilustrowanym Warszawskim, poruszyła wszystkich. Poeta Królewicz w swoim hymnie: „Omne Die dic Mariae“ błaga w Ostrej Bramie o ratunek dla swego narodu — a nazajutrz

w dzień św. Kazimierza, każdy z modlących się odchodzi z Jego kaplicy z wewnętrznym głosem w duszy, który mówi — „Nie bójcie się! Nie zginiecie! oto daję wam dar Boży: świętą Moc Wytrwania“.

Dmochowska próbowała sił swoich w utworze dla teatru. Na konkursie im. Sienkiewicza odznaczono jej sztukę p. t. *Syn*. Grano ją w Łodzi i w Wilnie, ale to była próba, prędko porzucona przez autorkę, gdyż talent jej dramatyczny, nie dorównał powieściowemu.

Wstrząśnienia wielkiej wojny skróciły życie tak potrzebne dla społeczeństwa. Pamięć jej na tle Wilna i ziemi naszej, powinna doczekać się uznania powszechnego. Ona łączyła ziemię tę z kulturą i ideałami całej Polski, w duchu szlachetnej i mądrej tradycji, obok rozumnego postępu nowego wieku.

L. Ż.

KONSERWATORJUM MUZYCZNE W WILNIE.

Przyznać należy, iż do tej pory w szkolnictwie nigdy nie uwzględniano należycie nauki muzyki, po macoszemu traktując tę tak doniosłą sprawę.

Zagranicą jest inaczej, konserwatorja tamtejsze są chlubą danego miasta, w konserwatorjum ogniskuje się życie muzyczne, każdy zdaje sobie sprawę z doniosłości posiadania jaknajwięcej wychowawczych zakładów muzycznych. Chcąc chociaż w minimum dać



ADAM WYLEŻYŃSKI
Dyrektor konserwatorjum w Wilnie.

obraz działalności tut. konserwatorjum, prosiłem p. dyr. Adama Wyleżyńskiego o informacje — których mi laskawie udzielił.

— Konserwatorjum w Wilnie istnieje od roku zeszłego tj. od dnia zatwierdzenia przez Min. W. R. i O. P. statutu istniejącej dotąd tylko „Szkoły muzycznej“. Dzisiejsze konserwatorjum jest instytucją prywatną — z prawami publiczności tj. ma prawo wydawać świadectwa mające jednakowe walory z świadectwami szkół (konserwatorjów) rządowych.

Konserwatorjum rządzi się własnym statutem. Na czele stoi dyrektor i Rada pedagogiczna złożona z całego grona nauczycielskiego. Atrybucje Rady są czysto pedagogiczne — jak np. układanie programu nauk, troska o należyte wypełnianie tegoż, kwalifikacja uczniów oraz ostateczna decyzja w wydawaniu świadectw i dyplomów.

Konserwatorjum dzieli się na dwie grupy: pierwszą tworzą klasy przedmiotów specjalnych, drugą klasy przedmiotów obowiązkowych teoretycznych. Klasy specjalne obejmują poszczególne instrumenta (np. fortepjan, skrzypce) klasy teoretyczne naukę solfegia, harmonję, kontrapunkt oraz formy muzyczne. Program nauki obejmuje 3 kursy: niższy, średni i wyższy. Czas nauki na każdym zależny jest od indywidualności ucznia, maximum jednak trwać może 3 lata.

Na każdy rok określa się program pracy. Program ten wzorowanym jest na konserwatorjach państwowych.

W tym roku konserwatorjum liczy około 200 uczniów w wieku od lat 10—28. Co tercjał odbywają się wieczory szkolne dla uczniów i ich rodzin oraz osób interesujących się rozwojem konserwatorjum, zaś co miesiąc wieczory wyłącznie dla uczniów i uczeni zakładu.

W końcu roku odbywa się publiczny popis różnych klas konserwatorjum.

Frekwencja dość liczna; z tego sądzić należy, że zainteresowanie w Wilnie tą instytucją jest duże.

Cała trudność leży w zbyt szczupłym lokalu (gimnazjum im. Orzeszkowej) oraz w kompletowaniu grona nauczycielskiego — ze względu na stan fundusów. Dochody swe czerpie konserwatorjum li tylko z wpisów oraz z nielicznych subwencji ze strony rządu. Wybitniejszym pozamiejscowym siłom niemożna ofiarować dostatecznie wysokiego honorarjum, któreby mogło je ściągnąć do Wilna. To stanowi duży minus, ale uniknąć się nie daje.

Bibliotekę posiada konserwatorjum nieliczną — przeważnie korzysta z biblioteki Tow. „Lutnia“.

Dyr. Wyleżyński wierzy w piękną przyszłość tej instytucji i całym dążeniem najbliższych czasów jest dążenie do jej upaństwowienia. Wtedy będzie można mówić o dostatecznych i silnych podstawach, na których instytucja ta spocznie.

Z naszej strony jaknajgoręcej tego życzymy.

D-r Tadeusz Szeliowski.

Sztuka i literatura.

Opera, koncerty.

Na afiszu stale „Carmen“ Bizeta w obsadzie naprzemian pp. Krużanki i Pastówny. Wykonanie tej roli nastęrcza bardzo wiele trudności i dlatego stawia się partję tę w rzedzie najtrudniejszych. Obie artystki miały dużo dobrych momentów, (w grze) notabene o jakiejś kreacji mówić nie można. Co do walorów śpiewaczych, to partja ta więcej dopada do głosu p. Pastówny, a mniej leży w rodzaju głosu p. Krużanki.

VII koncert symfoniczny stał pod znakiem twórczości Piotra Czajkowskiego. Koncert fortepianowy b moll odegrała z towarzyszeniem orkiestry p. Kimontt-Jacynowa prof. tut. konserwatorjum; okazała się doskonałą pianistką, o wyrobionej technice — jakoteż o pięknej miękkiej kantylenie.

W niedzielę 4 maja koncertowali w Wilnie pianiści: Józef Śliwiński oraz Mikołaj Orłow.

Śliwiński o ustalonej już oddawna sławie wnosi w swą grę dużo nastrojowości z rodzaju najszlachetniejszej — jaką może dać wybitny i prawdziwy artysta. Mimo, iż nie był zbyt

dobrze usposobionym — odegrane przez niego utwory Chopina zawsze przemawiały wprost do duszy słuchaczy. Ta ważna cecha nie znalazła miejsca w grze Orłowa. Świetny i poprostu błyskotliwy technik, nastrój stara się wywołać środkami zewnętrznymi: subtelnym pianem, oraz skłonnością ku przeciąganiu zakończeń granych utworów (sonata h moll Liszta) w ten sposób uzyskując nastrój chwilowy, czysto zewnętrzny znikający z chwilą zdjęcia rąk z klawiatury. Wadę tę uważam za b. poważną w karierze wirtuozowskiej Orłowa.

Wreszcie wspomnieć należy z uznaniem o koncercie jubileuszowym Stanisława Niewiadomskiego, urządzonym staraniem dyr. Zapaśnika. Koncert poprzedzony b. fachowym odczytem dyr. tut. opery p. Leszczyńskiego — składał się z utworów słynnego pieśniarza z różnej epoki jego twórczości. Mimo ogromnej prostoty utwory te stoją na najwyższych szczytach rzetelnego arcyzmu. Takie Chansons d'avril to — rzeczywiście arcydzieła literatury pieśniarskiej.

Wykonanie znalazły te pieśni w interpretacji p. Hendrichówny oraz p. Pastówny i p. Ludwiga.

Czasopisma.

Hejnal miesięcznik poświęcony sprawom oświatowym, społecznym i literackim. Rok I. Święciany. Organ Koła święciańskiego Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego.

Z uznaniem należy powitać ten organ prowadzony przez polską inteligentną młodzież na rubieży naszej Ojczyzny.

Kwestje szkolne w świetle statystyki i idei — kwestje stosunków narodowościowych, idea polskości, sprawozdania polityczne i artykuły literackie obok poezji, tworzą bardzo miłą i obiecującą całość. Redaktor Arcimowicz ma wielką słusność gdy powiada w Nr 3, że: „szkoła i sztuka są to kuźnice dusz, w których wykuwa się przyszłość narodu“. Poezje jego mają dużo siły, ale może trochę za wiele pesymizmu. Poezje Tarwida gładkie, utoczone trójlety, również potrącają o struny smutku. Wspomnienia wielkich wstrząśnień które przeżyła młodzież polska w tej epoce, dają się czuć, jak blizny na zmianę pogody. To prawda, ale poza tem czuje się słoneczność dążenia naprzód i niech tak „Hejnal“ nam żyje! Przesyłamy kolegom życzenia powodzenia i wytrwałości.

KRONIKA WILEŃSKA.

Sport.

Kurs instruktorski, urządzony przez Komisję oddziałową Kół mł. P. C. K. w Wilnie dla obecnych i przyszłych kierowników wychowania fizycznego już się rozpoczął (4/V) i trwać będzie przez dwa miesiące w roku bież. (pierwsza połowa) i od 1.I do 1.III—1925 (druga połowa). Na całość pierwszej połowy składa się 36 godzin wykładów teorii: anatomja, fizjologja, higiena, lekka atletyka, metodyka gier i zabaw ruchomych, wychowanie fizyczne, pedagogiczne znaczenie sportów. Następnie 68 godz. ćwiczeń lekko-atletycznych i 54 godz. gier i zabaw ruchomych. W miarodajnych sferach oświatowych obiecano i zapewniano nawet poparcie tej akcji P. C. K. co jednak nie nastąpiło; na kurs zgłosiło się zaledwie kilkunastu słuchaczy i to przeważnie z mniejszości narodowych, które, jak widać mają należyte zrozumienie dla fizycznego odrodzenia narodu. I pod tym więc względem wlecemy się za innymi narodami powoli, ospale. Tylko wiedzą, organizacją i wspólnym wysiłkiem zdobędziemy sobie dominujące stanowisko. A może wolimy mieć pana nad sobą po wieczne casy?

Otwarcie Parku Sportowego Kół młodz. P. C. K. ma nastąpić w niedzielę dnia 18 b. m. Program zapowiada się uroczystością i zajmąco

- Msza Św. Polowa.
- Poświęcenie parku i Domu Sportowego.
- Przebieg Młodz. P. C. K. uszeregowanych grupami na wielkim placu, prze Pana Delegata, Komisji Oddz. i przedstawicieli władz, przy dźwiękach orkiestry szkolnej.
- Sadzenie drzewek (na miejsce wyciętych) w Parku przez młodzież.
- Gry i zabawy ruchome, poszczególnych grup młodzieży, na wszystkich boiskach.
- Kosz szczęścia, loterja amerykańska i t. p.
- Podwieczorek prezesów i przedstawicieli Kół Młodz. z przedstawicielami władz i Kom. Oddziałowej. Koncert Symfoniczny Orkiestry artystycznej teatrów wileńskich.

Podkreślić tu należy, że na miejsce wyciętych drzew, w celu li tylko rozszerzenia istniejącego już placu, zostanie posadzone z paręset drzewek nowych. Niemity to proceder wycinanie drzew wogóle, lecz czyż największem dobrem narodu są drzewa? przytem przez łatą zdeformowane, nadgniłe? Zaniedbany do niedawna park im. Żeligowskiego staje się dzi-

siaj kuźnią zdrowia publicznego, gdzie wyrosną młode dębczaki, przyszłość nasza, nasi przyśli ojcowie i matki. Nietylko okrzyczany football lecz przedewszystkiem lekka atletyka, gry i zabawy ruchome i ćwiczenia harcerzy znajdują miły przytułek



Poświęcenie sztandaru Wil. Tow. Cyklistów i Łyżwiarzy, w d 3 Maja na krążanku kościoła św. Kazimierza — przed defiladą.

i będzie tam gwarno i wesoło w tym uroczym zakątku w samym śródmieściu. Ten widok rozbawionej i ćwiczącej się młodzieży pod życzliwym i fachowym kierownictwem starszych pozyska nie jedno serce dla idei Kół Młodz. P. C. K. w Wilnie — podniesienia tężyzny i hartu młodego pokolenia.

Piłka nożna.

Warszawa zapoczątkowała szereg gości oczekiwanych w tym roku z innych miast Polski i z zagranicy, jako Budapesztu, Rygi a nawet może być i z Leningradu. Warszawska reprezentacyjna drużyna piłki nożnej wykazała znaczną przewagę nad reprezentacją Wilna z wynikiem 6:0 (3:0). Gdyby jednak poszczególne kluby wileńskie doszły w czas do należytego porozumienia przy ustaleniu składu reprezentacyjnej



Fotogr. J. Puzyński.

ZWYCIĘSKA DRUŻYNA I P. P. LEG. O PUHAR:

R. Karolczyk, I. Vereneman, I. Krawczyk, Mjr. Z Wenda
Prezes Klubu, R. Wróbel, St. Gozdecki.
J. Gąsiorek, J. Truchan, S. Janicki.
S. Lassota, J. Lubarda, A. Micielski.

drużyny, Wilno bezwzględnie lepiejby się spisało. Również i mistrz Warszawy K. S. „Polonia“ pokonał mistrza wileńskiego K. S. „Wilja“ z wynikiem 5:2 (3:1). W jednym i drugim spotkaniu współzawodnicy wykazali, że można rozegrać i poważniejsze mecze bez zbędnego kopania się i bez brutalności wogóle.

W rozgrywkach o puchar stanęły do finału dwie dzielne drużyny K. S. Wilja i K. S. I p. p. Leg. Znac było silne zde-

nerwowanie po obu stronach. Gra rozpoczyna się szybkim tempo lecz na razie chaotyczna i z powodu silnego wiatru pełna niespodzianek, szczególnie dla „Wilji“, która grała przeważnie górą. Pierwsi dochodzą do względnej równowagi Legjoniści i zdobywają pierwszą bramkę. Nacierają coraz silniej na przeciwnika i grają przeważnie na połowie „Wilji“. Zawdzięczając solidarnej, wytrwałej i ambitnej grze zespołu, przy naógół dobrem opanowaniu piłki, dochodzi K. S. 1 p.p. Leg. do ostatecznego rezultatu 2:1 i staje się zasłużonym zdobywcą pucharu.

„Wilja“ wyciągnie zapewne z meczu tego należyte dla siebie wskazówki i bez wątpienia będzie tem gorliwiej dążyła do odebrania palmy pierwszeństwa.

— Przed oficjalnem otwarciem boiska K. S. „Sparta“ w parku Kol młodz. P. C. K. które nastąpi w dniu 18 b. m. odbyło się kilka próbnych towarzyskich meczów pomiędzy poszczeg. klubami. Sobotni mecz „Wilja“—„Makkabi“ został przerwany z powodu złamania nogi jednemu z graczy „Wilji“ przez Makkabistę. Jest to jakby ostrzeżeniem, że w imię „dobrej kasy“ sobotniej nie należy klubom naszym zbyt pochopnie urządzać towarzyskich meczów z przedstawicielami narodu o silnym południowo-wschodnim temperamentem i znacznym

antagonizmem narodowym, który na boisku footballowym napewno nie zmaleje a raczej zaogni się bardziej i spotęguje.

Wileńskie T-wo Cyklistów i Łyżwiarzy, które dziś liczy 87 członków nie posiada żadnego terenu ani na ćwiczenia ani na zbiórki, tentuje o kącik mały w parku im. Żeligowskiego. Powinno to uzyskać, chociażby już ze względu na rolę sędziów, wyłonionych z pośród T-wa przy kwalifikowaniu amatorów jazdy rowerowej jeszcze przed otrzymaniem numeru z Magistratu.

Dzisiaj każdy zdobywa ten numer bez żadnych trudności i ćwiczy się na ulicach miasta narażając i siebie i innych na kalectwa, zniszczenie ubrania, łamanie nóg koniom i t. p.

Przed wojną był inny porządek. Czyżbyśmy się mieli cofnąć i pod tym względem o lat kilkanaście wstecz a Wilno miało się zrównać z głuchą prowincją?

Szczególniej dzisiaj, kiedy nie posiadamy taniej a wygodnej komunikacji, sport ten zyskuje coraz to nowych zwolenników.

Wobec czego należy ułatwić W. T-wu C. i Ł. zdobycie elementarnych warunków rozwoju a z drugiej strony ująć w odpowiednie karby rozbijających się po mieście cyklistów-nieuków.

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

WILNO, UL. ADAMA MICKIEWICZA 6.

ZAOPATRZONA W BOGATY DOBOR
OSTATNICH NOWOSCI KSIĄŻEK i NUT.

PRZYJMUJE PRENUMERATĘ NA
DWUTYGODNIK „PROMIEŃ“.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

JAN MORICONI.

MOC TWÓRCZA.

Zmrok panował w pracowni...

Na tle białej ściany wylaniał się szary, wykonczony już posąg królowny Psyche.

A on schyłony siedział od paru godzin nieruchomy przy oknie, wpatrzony w dzieło swoich rąk. Ból, zniechęcenie, prawie rozpacz szarpały mu duszę. Bo oto ta sztuka nic mu nie dała, ani sławy, ani chleba, ani zadowolenia, — jeno gorycz zwątpienia i zniechęcenie. A jednak on jej wszystko oddał i młodość i miłość i całą ponętą szalu życia. Dla piękna opuścił przed laty swój kraj, dom rodzinny i ją także, tę, która go kochała.

Dla sztuki wyrzekł się wszystkich pożądań i rozkoszy i poszedł w świat na poniewierkę, na długie lata walki i ciężkiej pracy po której wracał bez plonu, z próżnemi rękoma.

Ze złym zmierzchem na twarzy, z niedobrym błyskiem w oczach zaczął patrzeć na posąg królowny Duszy, a w głowie jego powstawała nieprzeparła chęć by rozbić młotem jej nagie ciało, zmiażdżyć je, nogami podeptać.

Bo cóż miał teraz czynić? Oto widząc swą niemoc, swą nieudolność by zimny kamień przemienić w żywe ciało, wyrzeknie się na zawsze tych trujących marzeń o sławie i wróci do swego poprzedniego, szarego życia, a także do niej, do tej jasnej i cichej która go jeszcze dzisiaj kocha i nań czeka.

I na jej wspomnienie twarz mu zlagodniała. Przypomniał sobie ostatnie słowa, gdy żegnając go mówiła: „idź! bo wiem, że cię nie potrafię zatrzymać, lecz pomnij, iż czekać na ciebie będę, a jeśli mię kiedy zawołasz, to pójde z tobą wszędzie i zawsze“.

A on szalony nie chciał wtedy zrozumieć, że nad urojenie lepszą jest rzeczywistość, że cudniejsze jest piękno żywego kobiecego ciała nad dzieło jego rąk, że kochające serce jest droższe nad marmur zimny, który nie drga życiem i niema w sobie ducha.

Tak! on wróci do niej jak marnotrawca, który utracił największe dobro — cel życia i treść istnienia.

I marząc o tej jasnej, pewnej kobiecie, na której się nie poznał, rozpamiętywał teraz każde jej słowo, każdy jej ruch i przed oczyma stała mu ona z tą wielką zadumą na czole, ze wzrokiem sięgającym w przyszłość, z smętne rozchyleniem ust, które były wyrazem wiecznej, bezmiernej tęsknoty.

Na tych rozmyślaniach przeszła mu noc. Przez okno pracowni wpadały blaski wschodzącego słońca i z ulicy dolatywał świergot wróbli...

Cichy, spokojony powziętym zamiarem podszedł do posągu. Stanowczo ta Psyche nie była taką, jaką zamierzał stworzyć, jaką w sobie odczuwał. Jako kobieta była piękną, lecz życia, krwi i ducha w niej

brakło. Nie było w niej tęsknoty, zadumy przeszłości, zamyślenia w przyszłość...

Bezwiednie ujął w rękę kawał gliny i jął palcami dotykać wyniosłego czoła, oczu, nieskazitelnych warg. Z pod jego palców, glina jak wosk, wylewała się na bryłę posągu i tak mijały godzina za godziną, a on stał wciąż przy swej robocie nie czując zmęczenia, jeno wielką pewność w rękę i wielki spokój w duszy...

Południe już dawno mineło. W zachodzących blaskach słońca Psyche ożywiła się powoli ciepłem serdecznej, żywej krwi.

A gdy zmierzch już zapadł on zaczął uśmiechać się do Psyche łagodnie i miłośnie jakgdyby miał przed sobą tamtą żywą, tamtą kochającą.

Chciał odpocząć bo w palcach czuł skurcz, a w ramionach bezwład, ale nagła niemoc zgięła mu kolana i runął na posadzkę...

Biały pył gipsu uniosł się z podłogi i w niezmąconej ciszy zaczął zwolna znowu opadać.

On zaś leżał nieruchomo, z przymkniętymi oczyma nie widząc, że nad nim wznosił się powiewny posąg królowny Psyche, rwący się w zaświaty, z bezmierną tęsknotą w oczach, z nieugaszonem pragnieniem łaknących ust, z odblaskiem nieśmiertelności na czole! Nie widział, że wyciągała ku niemu przeczyste ramiona, nie widział tej Duszy ludzkiej którą stworzył, a stworzył — bo kochał bezmiernem miłowaniem, zrodzonym z bólu, tęsknoty i poświęcenia.

Romans Kościuszki.

Chmurna i słotna jesień obejmowała świat — ale młodzi tego nie czuli.

Młodym też czuł się Kościuszko.

Zawsze odznaczał się usposobieniem trochę sielankowem i sentymentalnem i zawsze wrażliwym był na uroki kobiece. Miał też nieco przygód miłosnych w życiu które w chwili tego opowiadania liczyło już piąty krzyżyk. Kobiety wyższych sfer lgnęły do niego, choć nie był piękny ani salonowy. Miał jednak to szczęście do ludzi, tę uprzejmość z którą odnosił się nie tylko do kobiet, ale do wszystkich ludzi, wieków i stanów, co go czyniło niezmiernie popularnym.

W parę dni po przyjeździe otrzymał już pięć listków i bilecików od różnych pań i panienek w Międzyborzu. Nie wbijało go to nigdy w próżność, a tem więcej teraz kiedy się zajął szczerze Teklunią Żurowską.

Zaniepokoił ten stosunek matkę panienki.

Osiemnastoletnia dziewczyna i mężczyzna koło pięćdziesiątki czyż to była para stosowna?

A jednak tych dwoje, na każdym zebraniu i spacerze mieli zawsze coś sobie do powiedzenia, i sobą wyłącznie byli zajęci.

Zdarzyło się tak, że raz Kościuszko wyjechał na czas dłuższy z Międzyboża.

Teklunia pobladła, zesmutniała i badana przez matkę, przyznała się w końcu, że bardzo tęskni, bo... bardzo kocha.

Matka przestraszona myślą o ojcu, zaczęła przedstawiać dziewczynie, że nie wypada okazywać tego co się czuje tak jawnie, i że przed przybyciem trzeba będzie strzec się zdradzić swe wrażenia — że Generał ostatecznie swem znalezieniem się nie okazywał stanowczych ku niej awansów.

Dziewczę słuchało i milczało.

Nie milczał jeden człowiek a był nim doktor Hakenszmit.

Przyjazd Generała i oficerów do Międzyboża, stracił pięknego doktora ze stanowiska zjadacza serc niewieścich.

Zepsuty powodzeniem i sławą w miasteczku i okolicy, uczony doktor przeprowadzał „cudowne kuracje“. Wszyscy kłaniali mu się z wdzięcznością, panienki radziły się go o różne toaletowe sekrety, ojcowie i matki witali go serdecznie jako opiekuna zdrowia i życia rodzin. jako najpierwszego i najmilszego gościa. Wykształcony i gładki w obejściu się, był ulubieńcem kobiet, aż do przybycia wojska do Międzyboża.

Od pierwszych o tem wiadomości, panie i panienki nie radziły się go ani o defekta ani o sekrety upiększania się, a tylko pytały:

— Czy pan konsyliarz słyszał o rycerzach? Czy nie wie kiedy przybędą? Czy zna Kościuszkę i jak on wygląda? A jacy przy nim są oficerowie?

I już tylko o nich była mowa, dla nich przygotowywano przyjęcia, układano rozrywki i tylko o życiu generała i jego przygodach opowiadano sobie cuda.

Hakenszmit zapalał gniewem. Jaki? to on, sławny doktor już nic nie znaczy?

Zobaczmy gdy się tamci zjawia!

Zjawili się. Przeczucie szeptało mu, że największe niebezpieczeństwo grozi mu właśnie od Generała. Dotąd ukrywał przed sobą i przed drugimi, że ze wszystkich panien w Międzybożu, Teklunia ze swoją łagodną twarzą i szafirowymi oczami, jest mu najdroższą. Teraz, zobaczył, że szafiry oczu i korale ust zwracają się nie do niego, że już on, sława zagraniczna, — uczeń doktora Franka, tego o którego walczyli dwaj cesarze aby go osiąść w Austrii lub w Rosji — On, Hakenszmit, u panny Chorążanki Tekluni niema już znaczenia.

Postanowił bronić się i działać. Śledził, nadśledził i posądzał z kolei każdego oficera o ukradzenie mu sympatji Tekluni.

Co prawda, nigdy jej nie posiadał w zupełności, ale uprzejmość ładnej panienki tłumaczył sobie inaczej, licząc, że z czasem nabierze temperatury.

Z uczoną niedomyślnością badał przyczyny zupełnego zubożenia — aż do wyjazdu Generała i zmiany w usposobieniu panny.

Oślupiał.

Niepożebne aby tę zawadą na jego drodze był człowiek starszy, brzydki, i taki niezajmujący, który się nigdy na żadne choroby ani defekta nie skarżył — i jego mądrych rad nie zasięgał.

Postanowił Teklunię wypróbować i zdybawszy ją w bawialni rodziców rozpoczął indagację.

— Panna Teklunia czegoś smętna. Dobre serduszek tęskni widać do pielęgnowania chorego.

— Jakiego chorego? spytało dziewczę, jakby ze snu zbudzone.

— A no, staruszka naszego.

— Mam dużo chorych i starych w wiosce, i codzień ich widuję, pan konsyliarz to wie, więc nie mam powodu do nich tęsknić.

— Ale ten, gość w mundurze, ten staruszek?

— Staruszek?! Generał?! przecież on nigdy nie choruje!

— To już moje doktorskie oczy widzą, czy on zdrow, czy jego jakie sekretne defekta dręczą, wiadomo jako staruszka, który całe życie przewłóczył się po różnych kątach zamorskich.

Tekluni krew uderzyła do głowy i serce zaczęło gwałtownie stukać.

— A pewno, że on nie siedział w kącie warząc drjakwie i kręcąc pigułki. Jego siły i rozum przydały się na coś lepszego Ojczyźnie i światu.

Doktor zmarszczył się jak suszona figa.

— Panna Teklunia dobrodziejka nadto już dobra i broniąca tych, których lata pośczerbiły. To przecież już marcowy kawaler. Gdyby się kiedy ożenił, to jego małżonka musiałaby być siostrą miłosierdzia i niańką przy nim.

— Lepiej być siostrą miłosierdzia przy bohaterze, niż towarzyszką lada pyszałka, odcięła dziewczyna zarumieniona oburzeniem, i nie mogąc dalej mówić, rozplakała się i wybiegła z bawialni.

Tegoż wieczora doktor skwaszony a udający zartokanego przyjaciela, jął matce nasuwać niepokój o zdrowie córki i podejrzenie o źle ulokowany sentyment.

Matka wybadała Teklunię i zrozumiała, że tu już rady i przestrogi na nic się nie zdadzą. W duszy rozgrzeszała dziewczynę, ale strach ją brał co na to powie Jegomość małżonek i ojciec? A wtedy macierzyńskie jej serce przeczuwało morze cierpień dla dziecka.

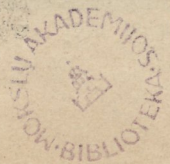
W serdecznej rozmowie z klęczącą u jej kolan Teklunią przedstawiła tylko potrzebę ukrywania sentymentu przed ludźmi, i przed samym bohaterem. Długo mówiła o godności kobiecej, która nie powinna pozwolić na objawianie pierwszej swoich uczuć. Mówiła, że kobieta wtedy jest droższą, gdy każe się ubłagać, gdy pozwoli w końcu się zdobyć, i że to co mężczyzna w niej ceni, to jest ta wstrzemięźliwość w objawieniu swoich uczuć, póki nie są one pobłogosławione i dozwolone. Inaczej, traci w jego oczach, zostaje zabawką chwilową którą się porzuca gdy już znudzi.

Teklunię dreszcz przebiegł od stóp do głowy, na myśl poniżenia się w oczach najdroższego jej człowieka i po wycalowaniu rąk matki, odeszła w najdalszy kącik ogrodu, gdzie stał posąg Matki Boskiej, i tam modliła się gorąco.

Postanowiła nieokaza: nigdy, nigdzie, nikomu, nawet samemu Generałowi o ile jest dla niej drogim.

Słońce zachodzące kładło różowe blaski na białą sukienkę dziewczęcia klęczącego u stóp posągu — a echa dolatujące z pól i ściernisk rozlewały wokoło łagodny spokój kończącego się dnia.

Dalszy ciąg nastąpi.





PLATERY
KRYZTAŁY
MAJOLIKA

Bracia Jabłkownicy
WILNO

DOM BANKOWY

F. WINISKI

WIELKA 47. Telef. 336, m. 855.

Dyskonto weksli
Rachunki bieżące
Wkłady terminowe
Przekazy
Inkaso
Kupno walut i papierów % %

Dom Bankowy załatwia wszelkie operacje wchodzące w zakres bankowości.

WILEŃSKI BANK

ROLNICZO-PRZEMYSŁOWY

CENTRALA w WILNIE

ul. Mickiewicza 17, tel. 319, 358 i 438

ODDZIAŁ MIEJSKI: ul. Wielka 73, tel. 163 i 330.

Oddziały zamiejscowe: w Warszawie, Grodnie, Głębokiem, Święcianach i Dziśnie.

Składy towarowe przy bocznicy kolejowej w WILNIE i GŁĘBOKIEM.

Załatwia wszelkie operacje bankowe.



Kalia

Wyroby nasze nie ustępują zagranicznym.

J. & S. STEMPNIOWICZ + POZNAŃ
FABRYKA PERFUM I KOSMETYKÓW

ODDZIAŁY:

WARSZAWA * KRAKÓW * RADOM
KŁ. SKORUPKI 8. RYNEK GŁÓWNY 46. PIASKI 12.

Biała Głowka

WÓDKA

Nº

21

Szustowa

P-091475

DOM HANDLOWO-PRZEMYSŁ.
„NIEMEN“
 SP. Z OGR. ODP.
 Węgiel, smary, materiały budowlane,
 świece, wyroby woskowe i inne,
 Dział ekspedycji i przewozu.
 Własny tabor przewozowy, składy.
 Załatwienie formalności celnych na granicy
 Łotwy i Rosji.
 Wilno, Zawalna 20, tel. 697.

Spółka akcyjna handlu i przemysłu metalowego
M. LISOWSKI
 Warszawa, Nowowiejska 22. Tel. 173-90 i 210-59
 POLECA własnej produkcji
Kotły parowe imadła
konstrukcje żelazne
kolejki wazkotorowe,
beczki żelazne.
 WŁASNE ODLEWNIE ŻELAZA I METALI
 I FABRYKA ARMATUR.
 Przedstawiciel na Wileńszczyznę
 Dom Handl. **G. PIOTROWSKI** Wilno, Trocka 11.



NEO-FOSFATYNA
 odżywcza mączka dla niemowląt,
 starców i rekonwalescentów.
 APTEKA KWENDY. WARSZAWA. KRAK. PRZEDM. 45.

DRUKARNIA
„RUCH“
 SP. Z OGR. ODP.
 WILNO, TATARSRA 5. TEL. 65
 PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA NA
 WSZELKIE ROBOTY W ZAKRES
 DRUKARSTWA WCHODZĄCE.
WYKONANIE SZYBKIE I STARANNE.